

na dół drze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 23 [680]

3 XI—27 XI 1988 R.
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Jaka mogłaby być Zielona Góra?

Józef Konarski

Zielona Góra przypomina mechanizm o bardzo zróżnicowanej sprawności, ze zgrzytem i zatarciami obracając się jego poszczególne części, awarie nie należą do rzadkości. Dla ludzi tu mieszkających jest to miasto wielu drobnych pozorów, ale uciążliwych, męczących kłopotów, miasto na które nie można liczyć, gdzie nagle może zabraknąć pieczywa czy wody, nie mówiąc o dziesiątkach mniej może podstawowych, ale potrzebnych towarów.

Wtedy trzeba te dobra „zdobywać”, „organizować”, poszukiwać. Okazuje się wówczas, że „w Polsce” to wszystko jest. Jest i olej samochodowy miks — rzadkość w pobliskich stacjach CPN, są oleje jadalne i margaryna, kawa czy pieczywo chrupkie.

Zielona Góra mogłaby być, nie będąc obciążona, nie do osarnienia miastem, mechanizmem sprawnym, działającym harmonijnie. Nawet w czasach niełatwych i niezbyt obfitych, w jakich żyjemy.

Czy brakuje nam rzeczywiście ludzi zdolnych, z wyobraźnią, ożywionych wspólnymi celami, umiejących rozwiązać to, co rozwiązać potrafią inni?

Marzę o tym, aby ktoś zareagował na informację, że zarosnięty krzewami wyjazd z parkingu stwarza możliwość wypadków, zareagował przed, a nie po. Aby ktoś posypał piaskiem strome, obłożone schody przed, a nie po kilku interwencjach pogotowia. Może to kwestia wyobraźni? Może za mało jest u nas poetów i czytelników poezji — nie wiem.

Jakim miastem mogłaby być Zielona Góra?

Na pytanie można odpowiedzieć różnie. Np. wykluczyć czegoś w Zielonej Górze brak i po takiej wyliczance nakreślić natchnioną, utopijną podsztywniętą miasteczko, krytych pływali, kortów tenisowych i nowoczesnych, nie za trwałych środowiska naturalnego, zakładów, równie znakomitej komunikacji, obiektów kultury i ważnych im-

prez artystycznych. Miasta leżnych, drogi i tanich hoteli, gastronomii, ścigającego turystów z Kalifornii, Leninu i Nipponu.

Można zrezygnować z takiego obrazu „rajskiej dzielnicy uludy” i zaprezentować miasto „na czarno”, ukazując jego postępującą degradację cywilizacyjną, pogarszanie się jakości podstawowych funkcji, które miasto współczesne winno spełniać. „Głęboka czerń” takiej prezentacji mogłaby ukazać obrazki wciąż istniejących w tym „mieście” ulic, gdzie ścieki płyną otwartymi rynsztokami, lub obrazy setek ludzi, którzy dławią się pojemnikami z wodą, aby wypić herbatę będącą herbata. Ten ostatni obrazek w przypadku tej licznej grupy mieszkańców, którzy noszą wodę ze źródeł leśnych, cofa nas do czasów powstawania miasta, do wieku XIII a może jeszcze dalej.

Istnieje też trzeci — „letni” — umiar kowanie optymistyczny i umiarkowanie pesymistyczny, tzw. urzędowy obraz miasta, który ukazuje jego punkt startu w 1945 roku i jego stan obecny, wylicza przede wszystkim to, co zmieniło się na lepsze, braki, trudności i kłopoty w ich przewidywaniu lokalizując w dalszej lub, rzadziej, bliższej przyszłości.

Dzisiejsza sytuacja miasta jest wynikiem wieloletnich procesów koncepcyjnych, decyzyjnych i realizacyjnych. Ich anonimowość nie była i nie jest tym bardziej obecnie, aż tak daleko po sunięta, aby nawet tzw. szarzy obywatele nie zdawali sobie całkowite sprawy, komu zawdzięczała nie tylko sukcesy, ale i porażki — mankamenty, z którymi na co dzień się borykają. To ostatnie zdanie nie jest na pewno wezwaniem do kolejnych rozliczeń. Nawet najradzykalniejsze rozliczenia nie są w stanie wykreować w budżecie miejskim jednej złotówki, poprawić jakości wody, sieci kanalizacyjnej, przywrócić życia drzewom, usprawnić komunikacji itd.

Rezygnacja ze spektakularnych rozliczeń nie oznacza jednak, że nie warto byłoby odpowiedzieć sobie na pytania: co czynić i jak, aby obecnie uniknąć powtórek pomyłek, jak optymalizować wspomniane procesy koncepcyjne, decyzyjne i realizacyjne, aby miasto rozwijało się nie na zasadzie (to tylko przykład) przepychanek o budowę kilku garaży w osiedlu X, które to przepychanki skupiają uwagę, pożerają czas i siły intelektualne władz miejskich („ludzie władzy” też „mają tylko jedno życie”) i obywateli.

W ostatnim czterdziestolecu, a zwłaszcza po uzyskaniu statusu ośrodka wojewódzkiego na początku lat pięćdziesiątych, Zielona Góra rozwijała się przede wszystkim w kierunku kreowania swej funkcji centralnej w stosunku do pozostałych ośrodków województwa, a także funkcji ponadregionalnej. Te dążenia i władz wojewódzkich, i miejskich, i mieszkańców doprowadziły do powstania w zasadzie od zera takich znanych przedsięwzięć i obiektów, jak centrum administracyjno-polityczne, siedziby wyższych uczelni, podstawowe sieci infrastruktury kulturalnej — biblioteki, KMPK, BWA, amfiteatr.

W dalszej kolejności, i w o wiele mniejszym zakresie, jakby na marginesie rozwoju miasta w kierunku osiedli wyrastających na obrzeżach jego starego jądra, wybudowano nieliczne i lokalowo słabe osiedlowe placówki kultury. Równie niedostateczny był rozwój placówek oświatowo-opiekuńczych, placówek służby zdrowia, które sprostałyby potrzebom. Zabrakło wyobraźni i decyzji dotyczących śmiałego, przyszłościowego rozwiązywania problemów bazy technicznej dla tak istotnego środka masowego przekazu, jakim jest prasa. Stąd budowa nowej drukarni, in-

ciąg dalszy na str. 4

PRZED
SADEM
W MOSKWIE

Mówić
można
zawsze

Z dziejów II Rzeczypospolitej

Gorące pogranicze

Jerzy Piotr Majchrzak

W dniu 29 sierpnia 1918 roku dekret Rady Komisarzy Ludowych Rosji Sowieckiej zniósł bezpowrotnie wszystkie traktaty i akty zawarte przez rząd byłego cesarstwa rosyjskiego z rządami królestwa pruskiego i monarchii austro-węgierskiej dotyczące rozbiórów Polski. Traktaty te uznano za sprzeczne z zasadą samostanowienia narodów. Pięć dni później werbalną notą zawiadomiono Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej. Wszędzie zrzucano symbole obcego panowania, wieszając w to miejsce polskie emblematy narodowe.

Na początku listopada Niemcy ogłosiła rewolucja: bunt marynarzy w Kilonii; powstanie Republiki Rad w Bawarii; barykady robotnicze w Berlinie, Lipsku, Wrocławiu. Cesarz Wilhelm II abdykował. Władzę w Niemczech przejął II socjaldemokraci z Fryderykiem Ebertem na czele.

28 listopada 1918 r. w artykule redakcyjnym niemieckojęzycznej urzędowej gazety „Zülfchauer Nachrichten” (Wiadomości Sulechowskie) można było przeczytać: „koniec wojny. Zdziesiątkowane na Wschodzie i Zachodzie dywizje carskiej armii wracają do domów. W kraju panuje chaos, rozprężenie i anarchia. Polacy, wykorzystując trudną sytuację w Rzeczy, dążą do wszystkich siłami do aneksji ziem byłego Wielkiego Księstwa Poznańskiego. W Poznaniu

skiem wrze, wybucha krwawe walki. W Kołobrzegu, dokąd feldmarszałek Hindenburg przeniósł swoją kwaterę, organizują się pierwsze ochotnicze oddziały do obrony ziem niemieckiego wschodu”.

Niewątpliwie rewolucyjne wydarzenia w Niemczech doprowadziły do przejścia węgła rozprężenia całego centralnego aparatu administracji państwowej. Polacy wykorzystali tę sytuację zajmując 27 grudnia Poznań, a w ciągu następnych tygodni (do połowy stycznia 1919 roku) również większość powiatów Wielkopolski. Udany przebieg powstania w Poznaniu, jednego zresztą zrywów polskiego w dziejach narodowych powstań zakończonych zwycięstwem, zdecydowanie wpłynął na powrót tych ziem do Polski. Powstanie wielkopolskie, zakończone rozejmem z Niemcami 16 lutego 1919 roku, stanowiło zasadniczy argument w czasie konferencji pokojowej na rzecz tezy, mówiącej o polskości tych ziem i konieczności przekazania ich Polsce. Za warty z Niemcami 28 czerwca 1919 roku traktat pokojowy przyznał Polsce Wielkopolskę z Poznaniem. Mimo tego sukcesu decyzje traktatu w sprawie polskiej granicy zachodniej były dla młodego państwa niekorzystne. Znaczne połacie Śląska, Pomorza Gdańskiego, Warmii i Mazur pozostały poza granicami Polski. Do korekty granic doszło dopiero w wyniku trzeciego powstania śląskiego: Polsce przyznano znacznie większą część tej dzielnicy niż poprzednio zamierzano, mimo to pod niemieckimi rządami pozostała na Opolszczyźnie ponad pół miliona ludności polskiej.

Lokalne gazety pogranicza polsko-niemieckiego lat 1918—1920, niezależnie od orientacji politycznej, wiele miejsca poświęcały kształtowaniu się wzajemnych stosunków ludności polskiej i niemieckiej na tych terenach. W obrębie prasy niemieckiej dominowały teksty z

mniej lub bardziej antypolskimi akcentami.

Głównym echem w gazetach Sulechowa, Świebodzina i Zielonej Góry odbiła się sprawa „incydentu w Chwalimie”, niewielkiej wsi pod Kargową, zamieszkałej niemal w całości przez ludność polską. 31 lipca 1920 roku „Wiadomości Sulechowskie” zamieściły artykuł, którego treść dalece odbiegała od rzeczywistych, utrzymywanych w niemiecko-wiernopoddanych tonie tekstów tej gazety. Oficjalny organ niemieckiej administracji państwowej przyznał, że „położona w Babimojskim wsi Chwalim, zamieszkała przez ludność wyłącznie polską, ka tolickiego i protestanckiego wyznania, mimo wysiłków administracji, nie ulegała presji germanizacyjnej i mocno trwała przy polskiej mowie i obyczajach”. Katolicy i protestanci z Chwalimia od lat uczestniczyli w obrzędach religijnych z polskim językiem w kościele parafialnym w Kargowej, pisał dalej gazeta, i oto „decyzją babimojskiego starosty, nabożeństwa te zostały zlikwidowane; ponadto zamknięto polską szkołę niedzielną w Chwalimie”. Administracyjna decyzja władz „musi wywołać oburzenie każdego cywilizowanego i kulturalnego człowieka — konkluduje gazeta — zwłaszcza, jeżeli dotyczy ona tak delikatnej materii jaką jest uczucie religijne, niezależnie od tego, w jakim języku jest manifestowane”.

Do tej sprawy wróciła 7 sierpnia tego roku zielonogórska gazeta „Grünberger Wochenblatt” (Tygodnik Zielonogórski) w artykule „Hanbiąca nietolerancja w oficjalnym wydaniu”. Po dyskryminującej uczucia religijne polskich mieszkańców Chwalimia decyzji starosty babimojskiego, pisał autor artykułu, Polacy postarali się o opiekę duszpasterską we własnej kaplicy wiejskiej, sprowadzając Polaka — kapłana z niedalekiej Kopanicy. „Terroryzowanie i rozpędzanie zgromadzonych na nabożeństwach wiernych w chwalimskiej kaplicy przez nieodpowiedzialne bojówki, tylko dlatego, że są Polakami i kult swój w polskiej mowie wyrażali, jest aktem najbardziej godnym potępienia, tym bardziej, że miał miejsce pod okiem władz,

ciąg dalszy na str. 5

CIEMNE
ULICE RATU

O poezji
Janusza Koniusza

SCENY
mitosne

Chińskie otwarcie na świat

Chiny budzą ciekawość, choćby ze względu na ich niezwykłe otwarcie na świat, będące rezultatem dokonujących się w tym olbrzymim kraju od ponad dziesięciu lat, po odrzuceniu szaleństw maoistowskiej rewolucji kulturalnej — przeobrażeniu.

Ich ojcem jest 84-letni Deng Xiaoping, który niegdyś trzykrotnie padał ofiarą czystki zorganizowanej przez Mao. Zapoczątkowano je na legendarnym już dzisiaj III plenum KC KPCh w grudniu 1978 r. na którym Deng skłonił solidarną swą władzę i zapowiedział, że socjalizm w Chinach (i jak sądzić można, nie tylko tam — przyp. SD) musi się łączyć z rozwojem gospodarczym, a nie z politycznymi zamieszkami i ubóstwem.

W tym rozległym „państwie środka”, którego liczba ludności przekroczyła już miliard, a przewiduje się, że w roku 2000 wynoszą one będzie miliard dwieście milionów — kwestia wyżywienia narodu była zawsze i jest nadal pierwszoplanowa. Nie też dziwnego, że najważniejszą decyzją wspomnianego planu było postanowienie, iż głównym kierunkiem działań partii i państwa winna być gospodarka i problemy wsi, na której żyje 80 proc. Chińczyków, czyli 800 milionów. Likwidując tworzone w czasach Mao komuny wiejskie, ale zachowując społeczność wiejską, nie mi uprawnej, oddano ją w dzierżawę w ramach kontraktu chłopom lub spółdzielniom produkcyjnym, działającym obecnie na zasadach dobrovolności. Na rezultaty tej decyzji nie trzeba było długo czekać. W latach 1979—1986 produkcja zbóż w Chinach wzrosła średniorocznie o 6,6 proc., tj. o ponad 10 mln ton. W ciągu kilku lat kraj ten przekształcił się z importera żywności w jej eksportera.

Sukces reformy gospodarczej na wsi spowodował, że zdecydowano się na jej wprowadzenie w przemyśle. Główną rolę w tej sprawie odegrał XII Zjazd KPCh w 1982 r. Wznowił on ogólnie reformy stały się przedsiębiorstwa. Wprowadzenie w życie zasady oddzielenia prawa własności od form zarządzania, umożliwiło im przekształcenie się w samodzielne, samorządne i samo finansujące się podmioty gospodarcze. Zmiany mechanizmów ekonomicznych i tu przyniosły pozytywne rezultaty. W ciągu ostatnich sześciu lat globalna produkcja chińskiego przemysłu wzrosła o 11,5 proc. rocznie. Dwukrotnie zwiększyła się wartość majątku trwałego w przemyśle, wzrosły realne dochody ludności miast i wsi. Powoli zapomniano o przysiółkowej misie ryżu, która przez lata była podstawą utrzymania.

Reformowanie gospodarki, zmiany w systemie politycznym — np. wprowadzenie nowej ordynacji wyborczej do Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych, stworzenie zrehabilitowanego systemu sprawowania władzy — doprowadziły do zwiększającego się otwarcia na świat. W wyniku tego ożywił się handel zagraniczny, który obroty w ciągu minionych ośmiu lat zwiększyły się trzykrotnie. Wyrazem nowej polityki było wstąpienie Chin do MFV, ich akces do międzynarodowych organizacji gospodarczych i finansowych. Już w 1979 r. podjęto decyzję w sprawie utworzenia na południu Chin 4 tzw. specjalnych stref ekonomicznych w celu przyciągnięcia kapitału. Z początkiem 1984 r. rząd chiński ogłosił 14 największych miast portów „miastami otwartymi”.

Ale ta nowa polityka zrodziła nie tylko sukcesy, lecz także trudne do rozwiązania problemy. Mówił o nich na III plenum KC we wrześniu br. sekretarz generalny partii Zhao Ziyang podkreślając, że Chiny znajdują się obecnie na etapie przejściowym ku nowemu ładowi gospodarczemu. Najważniejsze z nich aktualnie to inflacja i żywiołowy wzrost cen, wynikające z przegrzania gospodarki i rosnącego popytu. Stąd też m.in. regulacja cen i zmiany struktury uposażeń, likwidacja egalitaryzmu, warunkująca dalszą kontynuację reform, ale też ich poważne zagrożenie. W Chinach mnożą się strajki, w niektórych rejonach pojawiło się ponownie widmo głodu. W takiej sytuacji zdecydowano się na zwolnienie tempa reform w ciągu najbliższych dwu lat, gwałtownego uporządkowania gospodarki. Ale odwrót od reform już nie ma, jeśli nie chce się utracić tego, co już osiągnięto. Zhao Ziyang zapewnił, iż KPCh działać będzie w tej sprawie z determinacją.

STANISŁAW DERESZ

Przed sądem w Moskwie

Przed sądem moskiewskim toczy się obecnie proces, który niewątpliwie zainicjuje do największych sensacji ostatnich lat. Na ławie oskarżonych zasiadają bowiem jedna z najbardziej wpływowych osobistości epoki breżniewowskiej, pierwszy wiceminister spraw wewnętrznych a prywatnie zię ówczesnego sekretarza generalnego KPZR Leonida Breżniewa. Nazwisko podsądnego brzmi Jurij Czurbanow a wraz z nim na ławie oskarżonych zasiadli inni prominiści tego resortu np. b. minister spraw wewnętrznych Uzbekistanu, dwaj jego zastępcy a także pięciu szefów okręgowych urzędów MSW.

Akta sprawy liczą ponad 100 tomów a przed trybunałem wystąpi 500 świadków. Proces ten jest oskarżeniem pewnego stylu życia, jaki wytworzył się i utrzymał z czasów Breżniewa, a który świadczył o głębokiej degeneracji moralnej części kadr kierowniczych. Ten styl życia charakteryzuje tygodnik radziecki NIEDZIELA następująco: „hulać, brać i innym pozwolić brać”. Hasło „po nas choćby potop” przysięgało tym skorumpowanym przedstawicielom radzieckiej elity władzy.

Jak układały się kariery tego rodzaju osobników świadczyć może droga życia Czurbanowa. Jego do radzieckiego establishmentu zaprowadziła małżonka z Galiną Breżniew. Po okresie pracy w Komsomole rozpoczął on służbę w organach MSW na skromnym stanowisku młodszego oficera, a że miał cenną wówczas ponad wszystko umiejętność przypodobania się zwierzchnikom — otwierali się przed nim możliwości awansu. Sprzątał mu też los, Czurbanow został skierowany do obojczy tej ochrony córki Breżniewa — Galiny. Gdy ożenił się z nią w 1971 roku, kariera jego uległa gwałtownemu przyspieszeniu. Otrzymał natychmiastowy awans na pułkownika a następnie przeszedł szybko wszystkie stopnie generalistyczne. Awansuje też w hierarchii służbowej. Został jednym z wiceministerów spraw wewnętrznych a niebawem pierwszym wiceministrem tego potężnego resortu. „Wybrano” go też zastępcą członka KC KPZR, członkiem Centralnej Komisji Rewizyjnej i wreszcie deputowanym do Rady Najwyższej. Przyznawano mu też coraz to nowe odznaczenia. Nie brakło wśród nich takich kuriozów jak bojowy order „Czerwonego Sztandaru” przyznany mu za rzekome męstwo w Afganistanie, mimo że przebywał tam zaledwie kilka dni i to wcale nie na froncie. Albo np. medal „Za Olimpiadę” — przyznawany za zasługi w organizacji igrzysk olimpijskich 1980 roku, z którą nie miał on w ogóle nic wspólnego poza jednorazowym po- bytem na trybunie dla honorowych gości.

O ironio, ten nalogowy pijak i hulaka został mianowany przewodniczącym Krajowej Komisji do Walki z Alkoholizmem.

Pfokura ura oskarża Czurbanowa o przyjęcie łapówek w wysokości 658.833 rubli (wg oficjalnego kursu grubo ponad milion dolarów). Łapówki stanowiły integralną część życia skorumpowanego establishmentu radzieckiego. Za łapówki pobierane otwarcie i bez żenady można było np. w Uzbekistanie kupić sobie wyrok uwięzienia za najcięższe nawet przestępstwa (kosztowało to 25 tys. rubli), otrzymać tytuł „Bohatera Pracy Socjalistycznej” z równoczesnym wręczeniem Złotej Gwiazdy i Orderu Lenina. Nawet stanowisko ministra w rządzie republikańskim można było sobie kupić za 300 tys. rubli. Sprzedawano również mandaty deputowanego i w ogóle wszystko było „na sprzedaż”.

To łapówkarskie rozpasanie, z którym się już nawet w ogóle nie kryto, przywodzi na myśl znaną prawdziwą anegdotę z czasów carskich, gdy wielki przemysłowiec moskiewski Morozow, będąc na audyencji u generała — gubernatora Moskwy, podczas której chciał sobie załatwić koncesję na prowadzenie jakichś interesów, zwrócił się do niego: „niech mi pan załatwi tę sprawę a ja dam panu 10 tysięcy rubli i nikt nie będzie o tym wiedział”. Odpowiedź gubernatora brzmiała: „niech mi pan da 20 tysięcy i opowiada o tym komu się panu żywnie podoba...”

Ta spuścizna carskiej Rosji, ukształtowana wśród ówczesnej hierarchii urzędniczej tradycja łapownictwa zaciążyła mocno nad obyczajowością niektórych ogniw aparatu radzieckiego. Jeśli dodać do tego głęboko zakorzenione pojęcie „bakszyszu”, które przenikało całe życie społeczeństwa mułmańskich — stało się jasne, dlaczego właśnie w centralnej Azji afery łapownicze, korupcja i nadużycia mogły osiągnąć wręcz astronomiczne rozmiary.

Szczególnie spektakularną oazą tego rodzaju czynów stał się Uzbekistan w okresie rządów bliskiego przyjaciela i ulubieńca Breżniewa — ówczesnego I sekretarza partii tej republiki, który osiągnął w tamtej epoce szczyty hierarchii radzieckiej zostając zastępcą członka politbiura KC KPZR i członkiem

Prezydium Rady Najwyższej. A tymczasem w Uzbekistanie, pod patronatem tegoż Raszdowa, działały już całe zorganizowane mafie, których szefowie posiadali własnych „goryli”, terroryzowali uczciwych ludzi i cignęli ogromne zyski ze swoich stanowisk. Sama słynna „afera bawelniarska” przeprowadzona przez klan Raszdowa kosztowała skarb państwa około 4 miliardów rubli! Musiało to w końcu obudzić czujność nieskorumpowanych ogniw centralnego aparatu państwowego i tu właśnie przysłał się bardzo Czurbanow, który akta rozpoczętego śledztwa kazał sobie przesyłać i zatuszował całą sprawę. Jak napisała PRAWDA „posiadacz w Moskwie takiego przyjaciela jak Czurbanow było dla klanu Raszdowa rzeczą nieocenioną”. Dlatego też klan ten wypłacił mu okazałe sumy tytułem „honorarium” za ochronę.

Jest to więc analogiczna sytuacja do tej, jaką mafie stworzyły sobie w Ameryce, gdzie poszczególni kupcy i przemysłowcy są zmuszani do płacenia haraczku za „opiekę”. Obyczaje, jakie pokazał film „Ojciec chrzestny”, zostały żywcem przeniesione na scenę radziecką w okresie patriarchalnych rządów Breżniewa. Oczywiście generalny sekretarz nie wiedział o tych wszystkich dziwnych sprawach i sprawkach, ale w cieniu i pod parasolem stworzonym jego wszechmocną władzą mógł bezkarnie działać mafijne organizacje. Chodzi tu o cechującą tę epokę atmosferę pobłażliwości dla zła, kumoterstwa i klikowości, nepotyzmu i zakłamania, czego sam sekretarz generalny dawał dowody rozsądzając swą rodzinę i przyjaciół na wysokich stanowiskach.

Spośród tej rodziny szczególnie interesujący jest dla nas przypadek 58-letniej Galiny Breżniew, żony młodszego o 7 lat od niej Czurbanowa.

Dzisiaj, jak powiadała naczelną świadkowie, z dawnej reprezentacyjnej kobiety pozostał już tylko wrak. Widuje się ją na ulicach Moskwy gdy w starym futerku wędruje ze swego podmiejskiego mieszkania do najbliższego sklepu monopolowego, aby tam wystać swą flaszkę wódki. Śladu nie zostało po dawnych przywilejach — luksu sowej wili, służbowej limuzynie itd. A przecież do niedawna jeszcze zwano ją w kołach rządzących „madame” lub też „madame brillant” — jako aluzją do posiadanych przez nią niezliczonych ilości biżuterii. Galina przepadała za piątkami i hulankami, lubiła otaczać się wesółmi towarzyszami. Szczególną atencją darzyła muskularnych artystów cyrku. Jeden z nich — atleta, który utrzymywał na sobie piramidę z 10 ludzi — Mijajew, został nawet jej pierwszym mężem. Następnym był iluzjonista Igor Kijko, dwadzieścia lat od niej młodszy. Jeśli chodzi o pierwszego jej męża to natychmiast po ślubie z Galiną go stał on podniesiony do godności Ludowego Artysty ZSRR a później nawet uhonorowany tytułem „Bohatera Pracy Socjalistycznej”. Również drugi jej mąż szybko zaszła przywilejów związanych z dostaniem się do klasy rządzącej. To właśnie charakterystyczne epokę breżniewowską — epokę kumoterstwa i powszechnej demoralizacji, gdzie tylko przynależność do określonej klikki gwarantowała dostęp do upojnych źródeł władzy i bogactwa.

Jak pisał tygodnik NIEDZIELA: „breżniewszczyzna można określić jako „czas masowej demoralizacji ludzi we wszystkich warstwach społecznych, masowego złodziejstwa i pijaństwa, nie- dbałości i pochlebstwa, obojętności i dylacjonalności, pasywności, hipokryzji i serwilizmu”.

Szczególnie groźne było łapownictwo. Przykładem niech będzie bezpośredni zwierzchnik Czurbanowa Szełokow. Jako potężny minister spraw wewnętrznych i osobisty przyjaciel Breżniewa przyjął około miliona rubli (i to według skromnych szacunków) łapówek. Pierwszy strach padł na Szełokowa, Czurbanowa i innych, kiedy generalnym sekretarzem partii został Jurij Andropow. Gdy jednak po jego śmierci stanowisko to objął Konstantin Czernienko — członek starej gwardii breżniewowskiej — zdawało się, że wrócić dawne, dobre czasy. Szełokow powrócił do MSW a Galinę wraz z jej małżonkami znów można było ujrzeć na bankietach w pałacu kremlowskim. Gdy jednak do władzy doszedł Michaił Gorbaczow, wszyscy zrozumieli, że dalsze go pobłażanie nie będzie. Szełokow zastrzelił się z broni myśliwskiej i tę samą drogę wybrał również zastępca przewodniczącego KGB — Siemion Cwi gun — szwagier Breżniewa. Odebrał o bie również życie zastępca ministra spraw wewnętrznych Uzbekistanu, Dawidow, zwany krótko „hieną”.

O dziwo, ludzie ci z tytułu zajmowanych stanowisk mieli dostatek wszystkiego, czego tylko dusza zapagnie. A jednak fascynowało ich złoto, pieniądze i klejnoty. Zakopywali to złoto i skrytki w szych ogrodach i znów gromadzili pełne szkatuły precjozów. Przemycali również złoto za granicę, przyczem zaprzyjaźnieni z Galiną, artystki cyrkowi czynili to nawet w klatkach drapieżników.

Wracając do głównego oskarżonego Jurija Czurbanowa, to ścignięto już z niego wspomniane 658.833 ruble, co świadczy, że zachował on jeszcze do chwili aresztowania poważny majątek. Ekipa śledcza wykopała w ogrodach oskarżonych całe pojemniki pełne biżuterii i klejnotów. Zakopywano więc mieszczyskim zwyciężając skarby a w domach tej elity gromadzono dzieła sztuki, drogie dywany, antyczne meble, za bytkową broń, bezcenne kolekcje numizmatyczne. Państwo Czurbanowie posiadali też pod Moskwą wspaniałą dachę, nie tak wprawdzie reprezentacyjną jak breżniewowska, ale ta ostatnia była państwową rezydencją, natomiast ta — własnością prywatną. Oprócz tego posiadali luksusowe mieszkanie w Moskwie. W mieszkaniu tym leżały porzucane niedbale zwitki banknotów, biżuteria, kosztowne futra. „Madame” miała to nie tylko na własny użytek, ale chętnie tym handlowała.

Z kolei Jurij Czurbanow słynął w określonych kręgach z organizowania „różowych balecików” wspólnie ze swym bliskim przyjacielem i bezpośrednim zwierzchnikiem, ministrem spraw wewnętrznych ZSRR Mikołajem Szełokowem — członkiem „dniepropietrowskiej drużyny” Breżniewa. Trzeba stwierdzić, że „generalny”, otaczał się przede wszystkim ludźmi pochodzącymi

z jego rodzinnego miasta. Ci zaś umiejętnie podsycałi jego próżność. Przybie rala ona czasami wręcz operetkowy charakter. Nie darmo Marks mówił, że historia powtarza się, z tym że pierwszy raz występuje jako tragedia a drugi jako farsa. Bo jakże inaczej określić „or deromanię” Breżniewa, która kazała mu przypinać sobie coraz to nowe odznaczenia. Wykorzystał umiejętnie tę skłonność Edward Gierka odznaczając go Krzyżem Wielkim Wirtuti Militari, chociaż odznaczenie tej klasy przysługuje tylko wybitnym dowódcom.

Jurij Czurbanow chętnie składał zeznania przed sądem. Chce on sobie za pewnić w ten sposób przychylny sąd i uniknąć grożącej mu według usta wodawstwa radzieckiego kary śmierci. Taką karę poniósł już wiceminister go spodarki rybnej Władimir Rytow, który m.in. wysłał masowo na Zachód kawior ukryty w pojemnikach z napisem „makrela”. Zyski z tej operacji płynęły oczywiście do jego kieszeni. Stracony też został dyrektor moskiewskich „Deli katesów” Jurij Sokołow, blisko zaprzy jażniony z małżeństwem Czurbanow i wspólnik ich licznych interesów. Jaki kolwiek będzie wyrok sądu w procesie Czurbanowa i innych współoskarżonych, będzie to wyrok na całą epokę breżniewowską.

MICHAŁ HOROWICZ

W MAGADANIE

Władze Magadanu, dalekowschodniego portu radzieckiego, starają się wymazać wspomnienia o nim jako o symbolu represji stalinowskich. Mówią, że jest to świetnie prosperujące miasto. Jednak dla wielu obywateli radzieckich nazwa Magadan jest nierozłącznie związana z czystkami drugiej połowy lat trzydziestych, kiedy to port był głównym punktem załadunkowym ludzi wysyłanych do obozów pracy w kopalniach złota nad Kolymą. „Wielu naszych pamięta Magadan jako miasto ludzi o tragicznych losach. Ale to już daleka przeszłość” — powiedział zachodnim dziennikarzom Giennadij Dorofiejew, przewodniczący komitetu wykonawczego rady miejskiej Magadanu. I dodał, że wszystkie obozy zamknięto w latach pięćdziesiątych. Władze nie potrafią wskazać dokładnie ich lokalizacji rozrzuconych wokół porośniętych lasem wzgórz na północ od miasta (zimna temperatura spada w tych miejscowościach do -60 stopni Celsjusza).

Siergiej Sadetow, 46-letni wicedyrektor lokalnej telewizji, powiedział, że urodził się tu i pamięta więźniów, chociaż głów ne obozy były położone daleko od miasta.

Z kolei Jurij Szalimow, redaktor naczelną wydawanej w Pałacie gazety lokalnej „Zaria Siewiera”, potwierdził, że jego miasto, leżące 80 km na północ od Magadanu, powstało przy obozie pracy. Wskazując niedaleką hutę szkła, powiedział, że była ona zbudowana i obsługiwana przez tutejszych zesłańców. „Znam trochę takich, którzy po zwolnieniu pozostali tu, ale nie pytam ich o przyszłość” — dodał.

Większość zesłańców, zarówno kryminalistów jak i więźniów politycznych, dostarczano z głębi kraju szlakiem transsyberyjskim w bydlęcych wagonach, a w Władywostoku ładowano na statki. Według zachodnich źródeł historycznych, byli oni stłoczeni w ładowaniach okrętowych przez 8-9 dni podróży i tysiące z nich zginęło przed dotarciem do Magadanu. Historycy zachodni, cytując ówczesne źródła, twierdzą, że obozy nad

Kolymą były najcięższe w całym kraju. Co roku 30 proc. więźniów ginęło tam z głodu. Port magadański otwarto w 1933 r. Jego wicedyrektor, Nikołaj Pietelin przy zna, że w pierwszych latach zajmowa no się tu głównie wyładunkiem statków z zesłańcami.

Obecnie w porcie rozładkuje się rocz nie ok. 500 statków. Wiozą one głównie żywność i materiały budowlane dla szyb ko wzrastającej liczby mieszkańców regionu. Dorofiejewowi i innym przedstawicielom władzy zależało, by przedstawić Magadan jako kwitnące miasto przemysłowe o ambitnych planach rozwoju. Na pierwszy rzut oka robi ono wrażenie wielkiego placu budowy. Na przedmieściach rzędy nie wykończonych bloków mieszkalnych stoją wzdłuż niewyasyfowanych ulic. Dalej widać osiedla gnijących domków drewnianych, zbudowanych przez imigrantów z głębi kraju, którzy muszą tu czekać do 17 lat na nowoczesne mieszkanie. Dawne miasto z czasów represji ustąpiło miejsca blokom pobudowanym w ostatniej dekadzie dla tysięcy ludzi, którzy osiedlili się tu ze względu na wysokie zarobki. Stoczniołwiec zarabia ok. 900 rubli (ponad 160 tys. zł wg kursu oficjalnego) miesięcznie wraz z nadgodzinami, tj. ponad trzykrotnie więcej niż dostaby na zachodzie kraju. Dojarka otrzymuje 600 rubli (120 tys. zł) — sześciokrotnie więcej niż w innych częściach ZSRR.

Według Wiktora Primakowa, kierownika wydziału prasy komitetu obwodowego partii, głównym bogactwem regionu jest złoto, podobnie jak w czasach obozów. „Rząd potrzebuje złota i dlatego płaci do datkowo tym, którzy chcą tu mieszkać” — powiedział. Związek Radziecki nie ujawnia wielkości wydobycia złota, a dyrektor kopalni koło Pałatki odmówił go szczepnym tu dziennikarzom nawet podać liczbę robotników. Zdaniem Primakowa, wydobycie przynosi znaczny zysk na wet po wypłaceniu wysokich zarobków. „Gdybyśmy przeszli na pełne samofi nansowanie, rząd płaciłby ludziom nawet jeszcze więcej”.



Rys. LESZEK HERMANOWICZ



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Patologie

Co szósty mieszkaniec województwa zielonogórskiego nadużywa alkoholu. Co trzeci odczuwa skutki pijanstwa. Żyje wśród nas 19 tys. alkoholików i 81 tys. pijaków. Liczba rodzin — które wódka doprowadziła do sytuacji tragicznej, przekracza 65 tys. Na zakup alkoholu społeczeństwo województwa wydało 21 miliardów 160 milionów zł. Oto bilans trzech kwartałów br.

Mjr FRANCISZEK MAJEWSKI — szef wydziału prewencji WUSW w Zielonej Górze, sygnalizuje zjawisko przekraczające dotychczasowe stwierdzenia. Do niedawna patologią określano alkoholizm, narkomanie, prostytutki i przestępstwa związane głównie z tymi zjawiskami. Wszystko to razem nazywaliśmy sobie spokojnie „marginesem społecznym”.

Dziś margines poszerza się i zagarnia wszystkie dziedziny życia!

Od stycznia do października br. wszczęto 21 spraw karnych o łapownictwo i przekupstwo. Ludzie wciskają koperty lekarzom, kierownikom sklepów, urzędnikom. Są też tacy, którzy sami po te koperty wyciągają ręce. Prowadzona jest m.in. sprawa o wymuszenie łapówki przez pracownika administracji państwowej.

Wszystko to jednak, w ocenie milicji, jest przestępstwem wierzchołkiem góry lodowej!

Rosnie spekulacja — zwłaszcza telewizorami, magnetofonami, magnetowidami i innymi artykułami przemysłowymi. Opinia społeczna mówi, że do sta nowisk najintrygatniejszych obecnie, należą stanowiska kierownicze w sklepach i magazynach. O szybkim dorabianiu się tych ludzi krąży legenda.

Jedną z prowadzonych właśnie stu dzieściu spraw o spekulację, jest przestępstwo. Personel sklepu „Unitra” przy ul. Jedności Robotniczej w Zielonej Górze ukrył przed klientami cztery magnetowidy oraz sporo innego sprzętu radiofonicznego. Aparaty te przeznaczone były do sprzedaży za „specjalnym” wynagrodzeniem. Tyle na ten temat mówi sucha informacja MO.

Natomiast ludzie opowiadają, że aparaty te pracownicy sklepu po prostu zabrali do własnych mieszkań i spokojnie sobie z nich korzystali.

Abi żyć, trzeba mieć pieniądze, aby mieć pieniądze, trzeba zarabiać, aby zarabiać, trzeba pracować, lo gicznie, prawda? W naszym kraju, przy najmniej dotychczas, wolnych miejsc do pracy nie brakowało. Jednak sporo ludzi nie pracuje, ale jakoś żyje, pasywniejąc na innych. W ciągu trzech kwartałów br. do kolegiów karno-administracyjnych wysyłano prawie dwieście wniosków za uchylenie się od pracy.

Równocześnie wszczętych zostało kilkanaście dochodzeń z artykułu 21 Ustawy o pasywności. Z kręgów ludzi nigdzie nie pracujących wywodzi się większość sprawców przestępstw i wykroczeń. Tu najczęściej trafiają się bójki, awantury, prostytutki.

Wymiary patologii społecznej przybierają przestępstwa gospodarcze. I co gorsze: wśród prawie dziewięciuset sprawców tych przestępstw, wielu popełniło je po raz drugi, lub któryś z kolei.

Przestępca po odbyciu kary i wyjściu na wolność, często nie umie znaleźć się w nowych warunkach. Powraca w to samo środowisko, wchodzi w te same kręgi i pokusy — i wkrótce znów popada w kolizję z prawem. A więc — recydywa.

Wymowne są liczby: ogółem sprawców przestępstw — gospodarczych i kryminalnych łącznie — w okresie trzech kwartałów, mieliśmy w województwie zielonogórskim 3.333, w tym 690 recydywistów.

Problemem narastającym jest przestępczość dzieci i młodzieży. Jak wykazuje ewidencja MO, aktualnie w woj. zielonogórskim 1.300 osób nieletnich dotkniętych jest demoralizacją, w tym siedemset takich, które mają już na sumieniu przestępstwo.

Obniża się wiek młodych przestępców. Nie tak dawno pisałam o kilku-

letnich dzieciach, które włamały się do przedszkola, skradły zabawki. Teraz dwie inne, równie zatrważające informacje.

Do mieszkanka przy ul. Drzewnej w Zielonej Górze włamały się, wybijając dziurę w suficie, dwaj dziesięcioletni chłopcy. Również dwaj bardzo młodzi chłopcy włamały się do mieszkania przy ul. Pomorskiej. Te zdarzenia łączy jeden wspólny szczegół, mianowicie: w obydwu przypadkach chłopcy okradli własnych rodziców.

Również wśród małoletnich obserwujemy się recydywy, co świadczy o niskiej skuteczności systemów wychowawczych. Milicja podaje liczby: prawie 230 nieletnich uciekło z domów rodzicielskich, ponad 130 z zakładów opiekuńczo-wychowawczych i tyle samo z „poprawczaków”.

Wielu przestępców nieletnich popełnia czyny będąc pod wpływem alkoholu. I w tym miejscu powracamy do tematu najbardziej palącego: alkoholizmu i pijanstwa, czyli źródła wszelkiego zła.

Wśród wymienionych wyżej 3.333 sprawców przestępstw, prawie dziewięćset działało pod wpływem alkoholu. Ogromna większość zabójstw, gwałtów, rozbójów, bójek, znieważań, awantur i samobójstw popełniają ludzie pijani lub nietrzeźwi.

Piją podczas pracy! Przypadki takie milicja stwierdziła w 90 zakładach. Pijani siadają za kierownicę samochodu! W okresie od stycznia do października br. milicja skierowała ponad 2.750 wniosków do kolegiów do prowadzenia porządku w stanie nietrzeźwym. Tymczasem w 76 wypadkach drogowych spowodowanych przez nietrzeźwych kierowców, 14 osób poniosło śmierć!

Niewiele brakuje do okragłych 20 tysięcy — by określić liczbę interwencji MO w woj. zielonogórskim w ciągu trzech kwartałów br., wobec pijanych awanturników! Ponad 1800 takich osobników milicja zmuszona była osadzić w areszcie, ponad 3,5 tysiąca dowiozła do izb wytrzeźwień, ponad 2.300 odstawiła do miejsca zamieszkania.

Ujawniono i zlikwidowano, przynajmniej na jakiś okres, ponad 160 pijackich meł — w tym 54 w Zielonej Górze, 15 w Nowej Soli, 16 w Sulechowie, 11 w Krośnie — i tak dalej. Zatrzymano 95 osób trudniących się nielegalnym handlem wódką i ukarano właścicieli ponad 70 bimbrowni. Do komisji ds. przeciwdziałania alkoholizmowi wystosowano ponad 750 powiadomień na osoby nadużywające alkoholu i pijące w czasie pracy.

Nie czeka się więc z zalanymi rękami, aż jakiś cud odwróci od nas plagę pijanstwa — na tle której nawet narkomania (zarejestrowane 264 osoby) i prostytutki (zarejestrowanych 80 osób) wydaje się mieć mniejsze rozmiary. Milicja przy pomocy ORMO, społeczne komitety, komisje i stowarzyszenia, robią wiele. Jak to ładnie powie dziano niedawno w dzienniku TV, „z mównicy i ambon padają w tej sprawie mądre słowa”.

Wszystko jednak jest kroplą w morzu.

Morzu alkoholu, którego, w przeliczeniu na czysty spirytus, każdy statystyczny mieszkaniec województwa zielonogórskiego, wliczając starców, chorych i dzieci, w okresie dziewięciu miesięcy br. wypił prawie dziewięć litrów.

HALINA ANSKA

— Czy odnosi Pan wrażenie, że lata siedemdziesiąte zaczynamy oglądać przez różową mgiełkę?

— Powiem więcej: w moim życiu prywatnym i zawodowym była to belle époque. Byłem wtedy, jak to się mówi, działaczem kultury, a lubuska kultura odnosiła wówczas sukcesy. Feeria festiwalu, a wśród nich blizująca gwiazda Lubuskiego Lata filmowego.

— Czy to nie były tylko igrzyska dla ludu?

— Nie. Wprawdzie w 1975 roku festiwal polskiej filmowej fabularnej przenosił się do Gdańska i Łagów stracił palme pierwszeństwa jeśli chodzi o gwiazdy filmowe. Natomiast cała sfera intelektualna tu pozostała. Myślę o seminariach filmowych klubu krytyki SDP i federacji DKF. W czasach gierkowskiach LLF w Łagowie było jedyną w Polsce imprezą zachowującą niezależność i samodzielność w zakresie oceny i nagradzania twórców filmowych.

— Tak, ale oni się tym nie przejmowali. Podobnie jak nie przejmowali się wieloma innymi wiadomościami np. z dziedziny gospodarki.

— To znaczy, że wówczas artyści nie byli równorzędnymi partnerami władzy w dyskusji czy sporze o wartości.

— Sądzę, że artyści byli wówczas tym, czym na dworach starożytnego Wschodu. Uświetniali. Od czasu do czasu, pozwolono im nawet na ugrzylenie kostki czy szarpnięcie nogawki, ale nie traktowano ich poważnie. W razie potrzeby sięgano po restrykcje w postaci zakazu druku czy odesłania filmu na polkę.

— Dlaczego więc w latach 80-tych artyści osiągnęli pozycję partnerów godnych sporu. Dyskutowali z nimi nawet ówczesny wicepremier Rakowski.

— Po prostu doszło do sojuszu inteligencji z robotnikami. Inteligencja za-

— W tym kontekście praca dziennikarza przedstawia się dość żałośnie. Jest stęśniony wyrobniakiem słowa mając świadomość, że niewiele ono znaczy.

— Od nas oczekuje się, że coś wesprzemy. I wspieramy. Jednak akcje propagandowe środków masowego przekazu rzadko przynoszą zamierzony przez decydentów czy samych dziennikarzy efekt. Bywa wręcz przeciwnie, mimo że robimy to chyba coraz inteligentniej, że zmieniamy nasz język. Owszem, działalność środków masowego przekazu może wpłynąć na zmianę stanu umysłów, ale we współdziałaniu z innymi przedsięwzięciami, decyzjami. Poza tym jest to proces powolny. Tak więc musimy mieć wiele pokory wobec swojej działalności, gdyż jej efekty nie są łatwe i szybkie osiągalne.

— Skoro już zaczęliśmy mówić o dziennikarstwie, proszę powiedzieć kto w Istocie kieruje Rozgłosnią Radiową? Jak powstaje program?

Z TADEUSZEM KONIOREM — REDAKTOREM NACZELNYM ROZGŁOSNI GÓRZE ROZMAWIA KONRAD STANGLEWICZ

POLSKIEGO RADIA W ZIELONEJ

— Jako dyrektor łagowskich festiwalu w latach 1975 — 1981 oglądał Pan te imprezy niejako od środka. Czy naprawdę nie było żadnych nacisków?

— Były bardzo duże. Jednak jurorzy z SFP jak i ZSMP oraz DKF przyznawali, mimo nacisków, nagrody twórcom będącym wtedy na indeksie. Takie to były czasy. W teren przychodziły listy z nazwiskami twórców „trefnych”, których nie wolno było zapraszać i nagradzać. Sam byłem świadkiem jak nagano na to, by nie przyznawać Agnieszce Holland nagrody bodaj za „Aktorów prowincjonalnych”. Holland była wówczas na indeksie, a mimo to nagrodę otrzymała.

— A więc opory można było przelamywać!

— W Łagowie było to możliwe, w Gdańsku czy Koszalinie już nie. Być może działał tu tzw. genius loci. Może też ze strony władz państwowych był to jakiś kompromis. W Gdańsku oficjalne jury i oficjalne nagrody, zgodnie z obowiązującą linią, natomiast w Łagowie, gdzie na wsi — jak mówiono — stworzono wentyl bezpieczeństwa. Tutaj twórcy mogli sobie pokrzyżować, podyskutować i ponagradzać zgodnie ze swoją wolą. Trzeba przyznać, że władze zielonogórskie mniej lub bardziej chętnie, ale decydowały się na to. Dużą rolę odegrał w tym ówczesny kierownik wydziału propagandy KW PZPR, Sobiesław Piontek, który praktycznie decydował. Wprawdzie miał jeszcze nad sobą sekretarza propagandy, ale jak zaszła konieczność, umiał go przekonać.

— Decydował ale tym samym i ryzykował.

— Oczywiście. Trzeba wspomnieć tak że o Józefie Prusiu, który odgrywał podobną rolę, co Piontek, tyle że w administracji.

— Czy już wówczas funkcjonowała świadomość, że Łagów jest wentylem bezpieczeństwa?

— Tak. Łagów uznawano wręcz za imprezę wjazdową, a po „Człowieku z marmuru” Andrzej Wajda był twórcą „trefnym”.

— Pańska pozycja była wówczas dziwna, ekwilibrystyczna. Jako dyrektor Przedsiębiorstwa Rozpoznawczego Filmów reprezentował Pan oficjalną politykę kulturalną. Jako organizator festiwalu musiał Pan być blisko twórców filmowych.

— Ta swego rodzaju schizofrenia sporo mnie kosztowała. Jednak ze strony twórców, reżyserów odmowy przyjazdu do Łagowa nie miałem. Odwrótnie. Pamiętam taki przypadek: nagrodzonego któryś z filmów Wajdy, ten zaś przebywał w Krakowie. Mimo to przyjechał do Łagowa odebrać nagrodę i spotkać się z publicznością. Wynajął specjalnie taksówkę. No, a skoro sam mistrz przyjeżdżał, to przyjeżdżali i inni, praktycznie cała czołówka polskich twórców filmowych. Bywali też w Łagowie przedstawiciele nurtu nacjonalistyczno-antysemickiego w polskiej kulturze. Z początku liczyli na nagrody, potem już nie. Byli tu obcymi i nie odgrywali żadnej roli. Tu panowała atmosfera liberalna. A liberalizm był wówczas ciężkim zarzutem. To co niezgodne z oficjalną, twardą linią ówczesnej propagandy chętnie określano mianem zgniełego liberalizmu.

— Jakie znaczenie miały formułowane w Łagowie diagnozy stanu naszej kultury i świadomości społecznej?

— Wybuchło wówczas „kino moralne go niepokoju”. Odzwierciedlało ono stan umysłów, który później dał o sobie znać, w sierpniu '80. O tym już wówczas w Łagowie się mówiło, nawet przy okazji tematów pozornie odległych od współczesności, jak np. polski film historyczny. Inne tematy wprost dotyczyły tego, co działo się w latach siedemdziesiątych w umysłach społeczeństwa a przede wszystkim twórców.

— Czy rezultaty, odpryski łagowskich spotkań docierały do tych, którzy kierowali wówczas kulturą?

wsze przegrywała, gdy występowała sama. Podobnie jak robotnicy. Tylko wtedy kiedy obie te grupy społeczne, ze względów koniunkturalnych lub ideologicznych — nieważne, występowały razem, zaczynało się z nimi liczyć.

— Takie krótkotrwałe sojusze są zawierane, kiedy przeciwnik jest określony, a cel walki wyraźnie spreżywany.



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

— Oczywiście. Obecnie np. nie wszyscy występują razem. No bo cele niewyraźne. Ba! często interesy są rozbieżne.

— A zmiany w polityce kulturalnej?

— Dzisiaj na pewno dużo więcej można powiedzieć, pokazać. Ale nie jestem pewien, czy potencjał twórców jest na tyle silny, by sprostać czasom w jakich żyjemy i jakie nadchodzą.

Publicystyka jest dziedziną, z którą władza się jakoś liczy. Publicystyka stała się głównym sposobem wyrażania postawy intelektualistów. Nie ma to jednak nic wspólnego z wielką sztuką. Co z tego, że ukazuje się tyle błyskotliwych felietonów Passenta czy Kisiele. Po paru miesiącach nikt o nich nie pamięta. Nikt. Z felietonów niczego się nie zbudowało i nie zbuduje. One mogą zwrócić uwagę na coś, pobudzić, ale nie są to dzieła o trwałej wartości.

— Słowem liberalizacja w dziedzinie idei, myśli, słowa, nie jest lekarstwem na nasze kłopoty?

— Oczywiście ona być musi. Daje przecież ujście wielu poglądom, nieraz cennym. Ale ona nie czyni rewolucji. Myślę, że władza zrozumiała, iż gadać nie jest groźne. Rewolucję robi się nie w słowach a w czynach. Przede wszystkim w podstawowych rozwiązaniach gospodarczych i politycznych.

— W sprawach generalnych jest to rezultat polityki władz państwowych. Natomiast w bieżącej działalności w dużym stopniu zależy on od zespołu dziennikarskiego.

— Świadomie użył Pan słowa zespół, a nie kierownictwo czy redaktor naczelny?

— Tak. Z perspektywy moich z górą sześciu lat pracy w Rozgłosni stwierdzam, że nawet gdyby się bardzo chciało, to nie można ręcznie sterować całym zespołem i dyktować kolejne pozycje programowe. Idealem jest zespół, który „wie, o co chodzi” wśród tych meandrów zmieniającej się sytuacji i często sprzecznych, z tygodnia na tydzień zmieniających się decyzji. Oczywiście za wszystko odpowiada redaktor naczelny, ale on sam mając do czynienia z zespołem nie godzącym się z jego postawą, nie jest w stanie przeprowadzić swojej linii. Musi istnieć wzajemne zrozumienie.

— Czy nie odczuwa Pan niedosytu, jeśli idzie o sygnały nadchodzące od słuchaczy? Myślę nie tyle o prośbach o interwencję, ile o próbach formułowania pod adresem Rozgłosni ogólniejszych oczekiwań, refleksji.

— Oczywiście, ale to wynika ze stanu umysłów społeczeństwa. Wiadomo, że jest marazm, apatia i brak wiary. Jeśli tak to trudno oczekiwać od słuchaczy głębokich przemyśleń dotyczących spraw podstawowych państwa, społeczeństwa itd. Ogromna większość listów i telefonów od słuchaczy dotyczy spraw osobistych bądź najbliższego otoczenia. Ale dotyczy to nie tylko naszej Rozgłosni lecz w ogóle środków masowego przekazu i aparatu władzy.

— Jaki jest Pana zdaniem stopień wiarygodności naszej Rozgłosni?

— Nie zajmujemy się wielką polityką, zajmujemy się raczej sprawami drobnymi. Nasz język nie jest językiem uchwał czy wielkich zgromadzeń. Staramy się używać takiego języka, jakim posługują się ludzie. W związku z tym nie ma chyba powodu by traktować nas z niewiarą. Nie rzucamy hasła wielkich, bez pokrycia, które by de zaważowały nas w oczach słuchaczy.

— Nie jesteśmy jednak ośrodkiem krystalizacji myśli, opinii elity intelektualnej tego regionu. Nie bombardują nas swymi propozycjami.

— Dotyczy to także „Gazety”, „Nadodrza”. Kiedyś było to środowisko piosarzy. Czy dziś ono istnieje? Było środowisko plastyków. Teraz są plastycy, co robią, wystawiają ale środowiska nie ma. Środowiska intelektualnego, dyktującego, formułującego swoje przemyślenia i bombardującego nimi środki przekazu — też nie ma. Jest to dramat naszej sytuacji.

— Sądzę, że ten brak ośrodków opinii powoduje, iż także cały region stanowi dość niejasną, trudną do rozpoznania plamę na mapie kraju.

— Tak, ale ta uniformizacja jest stanem ogólnopolskim. Środowiska, o jakich pan mówi, istnieją może w Warszawie, na zasadzie polityki kawiarnianej, może w Krakowie dzięki potencjałowi intelektualnemu. Gdzie indziej, twierdzi, takich środowisk nie ma. A rozpoznanie? Ono istnieje, ale co z tego?

— A może jest to wynik niewłaściwej polityki kulturalnej? Czy w takich warunkach można uprawiać jakąkolwiek politykę?

— No właśnie, to jest pytanie. Nie potrafiłbym na nie z całą pewnością odpowiedzieć.

— Dziękuję za rozmowę.

westycji o znaczeniu ponadregionalnym, toczy się dziś w skrajnie trudnej sytuacji gospodarczej i regionu, i kraju, czego nie są w stanie złagodzić najbardziej zielone reflektory świecące w oczy jej realizatorów.

Jaka mogłaby być Zielona Góra

Zagadnienia tzw. nienadążania, a także wątpliwej jakości tego, co dotąd powstało w mieście, stały się od dawna, od końca lat sześćdziesiątych, stałym tematem refleksji społecznej. Refleksja ta wyprowadza była i na łamach prasy, w dyskusjach toczonych na wielu miejskich konferencjach partyjnych, przy okazji kampanii wyborczych czy konstruowaniu kolejnych planów rozwoju społeczno-gospodarczego Zielonej Góry.

Gdyby odkurzyć i ponownie przestudiować to wszystko, co krytykowano i postulowano dotychczas, i prześledzić los wielu pomysłów i nawołań, mogłoby powstać obraz niezbyt radosny, a przynajmniej jego przedstawicieli. Schemat tego dialogu można by sprowadzić do takich standartowych stwierdzeń stroni:

- Istnieją potrzeby A, B, C, D...
- Tak, rozumiemy je i dostrzegamy, ale...

Odnoszę z tych przesłuchań, z pewnością bardzo nieobiektywne przesłuchanie, że b. liczne głosy, opinie i postulaty dotyczące i kierunków rozwoju miasta, i jego funkcjonowania były brane pod uwagę w stopniu niedostatecznym, co w konsekwencji rodziło frustrację i zniechęcenie.

Człowiek mieszkający w Zielonej Górze od lat 20, 30, 40, dostrzegający pogłębiający się dyskomfort życia codziennego i usiłujący te swoje postrzeżenia wyrazić — pisząc listy do urzędów i redakcji, zabierając głos w dyskusjach publicznych, krytykując, postulując, apelując, wnioskując, dostrzegając niewielką efektywność, czasem naiwność takiego postępowania. Jeżeli nawet uzyskiwał przy postawie bardziej agresywnej i powszechnie dostrzeganej słuszności

swych opinii odpowiedź, była ona w stylu: „Tak, macie rację, ale...” lub „Tak, z pewnością jest to racja, ale są i inne racje. Większe i ważniejsze. Musimy wybierać racje ważniejsze, pilniejsze, rozwiązywać potrzeby, bo nie stać nas na wszystko, czekać trzeba cierpliwie”. Były to odpowiedzi z pozycji tego, kto po prostu „wie lepiej”, bo posiada więcej wiedzy i sprawdzonych informacji, kontakt z tymi, którzy wiedzą jeszcze lepiej i posiadają informacje jeszcze bardziej pewne.

Reakcją, często nieświadomą takiego układu i takiego dialogu, był (i jest) zanik poczucia współodpowiedzialności mieszkańców za to, co (oczywiście „dla ich dobra”) władza w mieście czyni. Miasto przestało być „rzeczą wspólną” (pospolitą), budowaną, ulepszaną „przez wszystkich, dla wszystkich” po to, aby żyło się w nim wygodniej, lepiej, do którego by się tęskniło, wyjeżdżając na krócej lub dłużej.

To nie tylko w procentach frekwencji wyborczej lat ostatnich doszły do głosu takie postawy obojętności. Jako „malkontent”, „krytykant” i „czarnowidz” (nie ja wypowiadałem te epitety), mogę jedynie stwierdzić, że grupy ludzi, którzy „mają coś do powiedzenia w tym mieście”, do rozpowszechnienia się takich postaw społecznych walczyli się takich postaw społecznych walczyli się przyczynili.

Co uczynić, aby te procesy skutecznie zahamować, odwrócić ich bieg? Jako mieszkaniec miasta od 1965 roku

jestem np. wzruszony jego „dynamicznym rozwojem”, doceniam możliwości zaopatrzenia się w poszukiwane od mieszkańcy i deficytowe towary przy okazji kiermaszy organizowanych w czasie „świąt kultury”. Wolalbym jednak wiedzieć, na co dzień, a towary te kupować na co dzień. Nawet, gdy są to towary rzadkie, można by wyobrazić sobie

ich legalne reglamentowanie bez powierzenia ich dystrybucji „społecznym kolejom” i spekulantom. Udać się do innych miast, dlaczego nie może się udać w naszym?

Pytanie „dlaczego?” dotyczące problemów miasta padało i pada w wielu środowiskach i przy różnych okazjach. Nie zawsze dotyczy ono jedynie zachcianek i postulatów inwestycyjnych — te odepchnięto. Trudniej, gdy padają pytania o dobrą, bez których jakoby można żyć.

Dlaczego w Zielonej Górze nie można zmniejszyć emisji z kominów kilku bardzo ważnych zakładów? Dlaczego w mieście podobno nie skłapiącym środków na swą zieleni, mimo wielu akcji prasowych nadal betonuje się przy układaniu trotuarów wiele wspaniałych okazów drzew? Dlaczego przy okazji wymiany i ponownego układania wsporników trotuarów robi się to tak, że w całym mieście nie ma właściwie odcińka o mniej więcej równej powierzchni, co łatwo sprawdzić w czasie deszczu? Przy okazji ostatniej akcji podwyższania krawężników i trotuarów sporo korytarzy wejściowych do domów znalazło się poniżej nowego poziomu — dlaczego? Co się będzie działo w wypadku deszczu i roztopów?

Dlaczego nikt nie prowadzi w mieście świadomej polityki udzielania zezwoleń na zamykanie punktów usługowych i handlowych w okresie letnim? Dlaczego stan zaopatrzenia placówek handlowych w Zielonej Górze jest od

lat gorszy niż np. w Świebodzinie? Może udałoby się zorganizować wymianę doświadczeń na ten temat, bez konieczności wyjazdów w tym samym celu na antypody?

Dlaczego zmniejszenie gęstości przystanków MPK jest od lat „jedyną słuszną” drogą rozwiązywania problemu komunikacji? Czy poza atrakcyjnym ze wszech miar problemem budowy kilkunastu garaży dla kilkunastu z pewnością atrakcyjnych obywateli grodu, władze miejskie nie próbują rozwiązywać zagadnień parkowania tej ilości samochodów, jaka już istnieje i która na pewno zwiększy się w najbliższych latach? A może udałoby się zorganizować intratny dla miejskiej kasy garaż-przechowalnię samochodów dla grup wakacyjnych kierowców, którzy spaliby beztrudno zadowoleni, że nie pożera ich pojazdów korozja? Dlaczego otaczające miasto bezcenne lasy zdają się nie mieć gospodarza? Co prawda instaluje się tam ławki i wtedy, sadzi liczne krzewy i drzewa, ale stan dewastacji i zaśmiecania wskazuje, że ktoś jednak powinien interesować się tym, dlaczego ten ni to las, ni to park miejski zasłany jest w wielu punktach butelkami po środku czyszczaco-odurzającym „Krysztal”, nie mówiąc o zrzuconych śmieci, gruzu i odpadków, których sprawców można by, jak sądzę, siłami społecznymi ustalić, gdyby to kogokolwiek obchodziło.

Są to pytania o charakterze ogólnym, które obchodzą, jak sądzę, wielu mieszkańców. Pytań bardziej szczegółowych, obchodzących mniejsze grupy można znaleźć ilości wcale niemałe na miejskiej stronie „Gazety Lubuskiej”, w skargach i listach kierowanych do instytucji kontrolnych i instancji partyjnych.

Jest wspaniale, że miasto co najmniej dwa razy w roku ożywia się „tętnem życia”, ściągając gości, których wita łatwo, lecz już mniej łatwo kwateruje i żywi. Poza tymi okresami, poza wydarzeniami na skalę regionalną, ogólnopolską czy międzynarodową, może jednak warto byłoby zastanowić się, jak żyje się przeciętnemu mieszkańcowi na co dzień i w zwykłą sobotę-niedzielę? Co, poza gotowaniem obiadów, spacerami po wodę na herbatę, udziałami, grzybobraniami jesienią, uganianiem się po sklepach i wystawianiem w kolejkach do miernie zaopatrzonych sklepów, sami sobie w stutylkowym mieście oferujemy

Splendory spływające na miasto z racji dorocznych imprez, zachwyty przez lotnych gości z „wielkiego świata” nad urodą i innością atmosfery Zielonej Góry, nie powinny być uzasadnieniem, by w pozostałych miesiącach popadać w stan bylejakości. Także w tych pozostałych miesiącach każdy, kto „robi swoje” — posuwa naprzód to, za co odpowiada, powinien rozmyślać nad tym, co pozostanie po jego działalności następcom. Czy tylko podpisane przez niego odpowiedzi na skargi „rozgrymaszonych” mieszkańców „nie rozumiejących trudności i uwarunkowań”, że im dym z pobliskiego zakładu lub kotłowni zasypuje sadzą i popiołem mieszkanie?

Czy możliwe jest, aby takim, innym od dzisiejszego, miastem była Zielona Góra, także Zielona Góra?

JOZEF KONARSKI

Na sesji Miejskiej Rady Narodowej, która odbyła się w czerwcu br., został przyjęty program rozwoju społeczno-gospodarczego i kulturalnego Zielonej Góry w latach 1988—1992. Zakłada on m.in.:

- budowę 900 mieszkań roomie;
- zorganizowanie Muzeum Historii Miasta;
- przekazanie do użytku Domu Pracy Twórczej przy pl. Bohaterów

Z założeń programu rozwoju Zielonej Góry

Stalingradu. Znajdą tam swoją siedzibę: klub środowisk twórczych, galeria sztuki, sklep „Sztuki Polskiej”, pracownia dla artystów;

— rozpoczęcie budowy Państwowej Szkoły Muzycznej;

— rozpoczęcie budowy hali widowiskowo-sportowej na Wzgórzach Piastowskich;

— rozpoczęcie budowy nowego Szpitala Wojewódzkiego przy alei Wojska Polskiego;

— ograniczenie emisji pyłów z „Dekory”, „Chempraltextu”, Elektrociepłowni „Polmosu”, „Falubazu”, Fabryki Mebli oraz lokalnych kotłowni;

— budowę pierwszego etapu oczyszczalni ścieków;

— rozpoczęcie budowy Wojewódzkiego Centrum Telekomunikacji na osiedlu Kisielickim;

— rozpoczęcie budowy przedszkoli na osiedlach: Przyjaźni, Pomorskim, Zaczysze oraz przy Trasie Północnej;

— rozpoczęcie budowy szkół podstawowych: na osiedlu Kisielickim oraz osiedlu Zaczysze;

— przygotowanie prac projektowych budowy liceum ogólnokształcącego na osiedlu Kisielickim.



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

CIEMNE ULICE RAJU

Nasza niebieska bluza z popeliny, białe koszule i niebieskie krawaty. Ich kobiety ubierają się też na niebiesko i białe. Spotykając się na ulicy wymieniają hilerowskie pozdrowienia. Są członkami parafii od lat walczącej o czwartą rzeczą, która miałaby być zlokalizowana w USA.

Coeur d'Alene na północy stanu Idaho, to prawdziwy raj. Malownicze jezioro opodal cieszy się dobrą opinią u rybaków, a lasy wokół pełne są zwierząt. Zadbane parki, przyzwoite college, imponująca Main Street i sympatyczne domy w wiktoriańskim stylu. Czysta, wygodne hoteliki, w których turyści kładą się spać wcześniej, by nazajutrz spotkać się z naturą.

To dobrze prosperujące miasteczko nie zna biedy ani bezrobocia. Nie wie też, czym jest zanieczyszczenie środowiska. Nowy Jork czy San Francisco z ich problemami uchodzą tu za miejsca z innej planety.

Ludzie wydają się tu szczęśliwi. Żyją w oddaleniu od hałasu i stresu wielkich metropolii. Nawet słońce, rzadko tutaj gości, a deszcze padają przeważnie w nocy.

— Coeur d'Alene to Szwajcaria Ameryki — mówi z łagodnym uśmiechem jeden z członków parafii i dodaje: — To Ameryka bez grzechu.

Tymczasem kilka kilometrów od miasta na 20-hektarowej powierzchni, otoczone kolczastym drutem stoją drewnia-

ne domy, przypominające baraki wojskowe z II wojny światowej. Jest kościół, sala do zebrań, drukarnia i wieża, z której widać wszystko jak na dłoni w promieniu kilku mil. Jest też składnica broni. Zawieszony na wieży dzwon ma w razie potrzeby ogłosić alarm.

Ta marsowa posiadłość, to kwatery główna Church of Jesus Christ Aryan Nation, czyli kościoła Jezusa Chrystusa — największej sekty aryjskiej w USA. Religijne credo tej sekty jest wstrząsające.

„Hitler był reinkarnacją proroka Elisasza. Teraz znajduje się w gronie świętych. Nigdy nie było Holocaustu. Holocaust to fałszywa propaganda. Czarni i inne brudne rasy powinny zostać odeprowadzeni od białych. Żydzi są dziećmi szatana. Homoseksualistów powinno się trzymać w obozach. Kiedy komputerowi na artykułach spóźnionych są tajną broń komunistów. Złag pogodę w USA powodują Sowietci sposobami chemicznymi. Tylko Aryjczycy zasługują na królestwo niebieskie”.

Kto w to nie wierzy lub temu się sprzeciwia, kulka w łeb.

Tak więc słoneczne Idaho stało się ziemią obiecaną nazistów. Mimo, że ich program polityczny nie jest spójny, zespoleni są wspólnym celem: chcą utworzyć własne, czystorasowe państwo na terenie Stanów Zjednoczonych, na zasadzie układów z rządem USA, a w razie konieczności — przemocą.

Nasze wyteścione królestwo Aryan Nation jeszcze daleko — mówi jeden z członków parafii, robiąc znak krzyża na czole — zdajemy sobie sprawę, że Ronald Reagan, ani też jego następcę nie odda nam w posiadanie takiego terytorium. Opracowaliśmy więc strategię. Polega ona na tym, aby płodzić jak najwięcej aryjskich dzieci. Będziemy silniejsi, gdy będzie nas więcej!

W 1983 roku „parafia” zorganizowała własny batalion wojskowy „Order”, we dług pomysłu neonazistowskiego literata Williama L. Pierce’a, który w swej książce usmierecił wszystkich niearyjszców w świętej wojnie.

Jednak zamiast dzielnych wojowników, zebrano się w batalionie dwa tuziny zdeklasowanych facetów-obiboków, głodziei i bandytów, którzy napadają na transporty pieniędzy, wysadzili w powietrze jeden z budynków rządowych i zamordowali żydowskiego redaktora z Denver Alana Berga.

Raz jeden tylko, pod koniec 1983 roku, policja wsadziła za kraty kilku „kombatantów” z parafialnego batalionu, oskarżonych o morderstwa. Petycja, by „parafianie” ci traktowani byli jak jeńcy wojenni, została odrzucona. Od tej pory bandyckie ekscesy trochę ustały, a Aryjska Nacja nieco utuliła się i zajęła się masowym płodzeniem dzieci oraz propagandą.

Propaganda, trzyma w rękach pastor Richard Girt Butler, duchowny i polityczny fideusz sekty. Ma 70 lat, zniszczone, pofalowane twarz i grzmiący głos. Członkiem Aryan Nations Church został w 1961 roku, a od roku 1971 jest oficjalnym przywódcą sekty.

— Nasza religia — mówi — przeznaczona jest wyłącznie dla rasy uprzywilejowanej. Moja misja jest głoszenie prawdy. A prawdą jest to, że biali zawsze byli przywódcami. To reguła pochodząca od Boga!

„Myśli aryjskiej kobiety” — pisze Butler w swym traktacie pt. „Aryjska wojna” — „wyceplone są rozważaniami o życiu w rodzinie. Aryjska kobieta daje prawdziwą miłość mężczyźnie i trószczy się o jego dom. Jest to jej jedyny cel i posłannictwo życiowe”.

Za największą zbrodnię członkowie tego osobliwego kościoła uważają mieszanie ras.

— To totalne pogwałcenie praw natury — wołają z mównic — wszak naturalnym porządkiem jest, że wróbel jest wróblem, losos lososiem, a ślędz ślędzem! Hitler był jedynym, który te prawdy rozumiał i stosował, wyciągając z nich słuszne konsekwencje!

Kiedy Butler przemawia, wznosi w górę krzyż. Nawołuje do denuncjowania Żydów, komunistów i homoseksualistów, aby „uchronić świat od zła”. Ukazuje symbol „dobrej aryjskiej wiary” w imię której należy walczyć z „całym brudem tego świata” — jest nim „Chrystus ukrzyżowany”.

Od dziesięciu lat pastor Butler każdego lata organizuje World Congress — światowy kongres, na który ściągają neonaziści z całej Amery-

ki, a także z Europy. „SS-Action”, „White Aryan Resistance”, „White Student Union”, „KKK-Cyclopes” — to tylko niektóre nazwy spośród licznych grup. Te kongresy stanowią dziwny show, coś między rytualnym zaprzysiężeniem i rzucaaniem czarów na wroga, a kościelnym nabożeństwem.

Władze administracyjne USA wykazują w stosunku do tej sekty niewiarygodną pobłażliwość. Wprawdzie FBI zrudkowała nieco liczbę „żołnierzy” batalionu „Order” i aktywność terrorystów na aryjskiej parafii zmalała. Mimo to jednak w słonecznym Idaho nadal wzbuchają bomby i nadal morduje się ludzi.

Społeczeństwo stanu Idaho i mieszkańcy Coeur d'Alene nie należą do parafii, obserwują z przerażeniem drewniane domki dla drutami i wież z młotem, jak na razie, dzwonem. Żydzi, Murzyni i Chińczycy przemijają chylkiem i wynoszą się powoli do innych miast. To samo robią biali, którzy zadają się, bądź zadawali z kolorowymi. W prawdziwym poplochu żyją homoseksualiści.

Hekroć zdarzy się morderstwo, wszyscy podejrzewają o to Aryjczyków z kościoła Butlera. Ci natomiast robią wszystko, by podejrzanie rzucić na Żydów lub czarnych. W tej sytuacji i przy wyraźnej niechęci ze strony policji, panuje dezorientacja. Nikt naprawdę nie wie, kto jest winien i kto kogo prześlada.

Na podstawie miesięcznika „Wiener” opracowała BEATA BARTOSIEWICZ

Gorące pogranicze

ciąg dalszy ze str. 1

— Jest Pan jednym ze szczęśliwców, którzy byli na olimpiadzie w Seulu. Parę słów o podróży.

— Z Warszawy do Kopenhagi LOT-em. Następnie samolotem linii holenderskich do Frankfurtu nad Menem, stamtąd Boeingiem — 747 linii Lufthansa do Hongkongu — dwadzieścia godzin bez przerwy — i tym samym samolotem dalej, do Seulu.

— Jakże wrażenie robiło miasto?

— Widziałem je już przed rokiem, będąc na zawodach o puchar świata. Wielkie centra urbanistyczne, choć znajdujące się w krajach o odmiennej architekturze, kulturze, klimacie itp., są do siebie podobne. Wszędzie wielki ruch, tempo, masa światła. Seul, tak jak Hongkong czy Mexico City jest miastem architektonicznie niejednolitym. Obok zabudowy, egzotycznych uliczek — nowoczesne, przeszklone budowle w stylu amerykańskim. Jedno co uderza w tym mieście, w przeciwieństwie np. do stolicy Meksyku: nie widać zniszczonych domów ani śmieci. Gdzie spojrzeć — wszędzie czystość i porządek. Być może całe miasto poddano kosmetyce przed olimpiadą i stąd to wrażenie.

— A ludzie?

— Gościnni, uprzejmi. W każdej sytuacji i o każdej porze uśmiechnięci. Ubrani kolorowo. Na ulicy dużo dziewcząt. Obsługa wioski olimpijskiej nosiła stroje w kolorze zielonym. Koreanki, bo i o nich wspomnę, mają śliczne buzie, bujne włosy, dużo zębów, ale kiepskie nogi. Oczywiście uśmiechają się bez przerwy i człowiek z Polski jest zdezorientowany, myśli — o co tu chodzi? W naszym kraju bezinteresowny uśmiech kelnerki, urzędniczki czy portiera jest rzadkością.

— Mówi Pan o strojach gospodarzy. A jak była ubrana polska ekipa?

— Bogato. Mielismy cztery komplety: kremową marynarkę z brązowymi spodniami, granatowy garnitur z koszulą w stalowe paski, jasne ubranie z tropiku w stylu safari i biały, lśniący strój do defilady. Poza tym dres Adidas i drugi, z ortallonu. Do każdego stroju otrzymaliśmy oddzielne obuwie — oraz wielką walizę i torbę ze skóry. Wszystko to razem jak słyszałem, kosztowało ponad pół miliona złotych na osobę. Nie wiem, kto projektował te stroje i kto decydował, że były właśnie takie. Natomiast jestem przekonany, że wystarczyłoby o połowę mniej odzieży, ale za to w lepszym gatunku i atrakcyjniejszych kolorach. Doprawdy, nie wiem, po co było żyć tyle ubranym? Byłem w Seulu 17 dni i nie zdążyłem nawet wystroić się w to wszystko.

— Więcej rzeczy otrzymaliście na własność?

— Tak. Zawodnicy nieodpłatnie, trenerzy za zwrotu 35 tysięcy złotych, co jest sumą śmieszna w stosunku do wartości. Powiem jednak szczerze, że tak na prawdę przydadzą się tylko dresy. Dzięki nim podczas zawodów gdzieś w świecie nie będę już wyglądał jak „cywil”. Nie powinienem narzekać, bo sam skorzystałem, ale też nie powstrzymam się od stwierdzenia, że wyposażono nas drogo i źle. Na defiladzie, w porównaniu z innymi, prezentowaliśmy się nieelegancko. Tkanina lina była zdrowa dla ciała, ale strasznie się gniecie.

— Jak się mieszkano w wiosce olimpijskiej?

— Słowo „wioska” jest tylko symbolem — wspólnoty, prostoty. W rzeczywistości jest to ogromna przestrzeń zabudowana wspaniale i nowoczesnie. Koreanczyki pomyśleli o późniejszym przeznaczeniu tych obiektów. Hotel więc składał się nie z pokoi, lecz z ogromnych — jak na naszą, polską ocenę — apartamentów. Wraz z sześcioma Polakami mieszkaliśmy na jedenastym piętrze w apartamentach dwukondygnacyjnych o powierzchni 210 metrów kwadratowych, z dwoma tarasami, z których rozciągał się widok na miasto. W pomieszczeniach tych, widząc, że wykańczanych w pośpiechu, nie było żadnych mebli, poza tapczanami. Gospodarze nie chcieli sobie robić zbędnych wydatków — a potem kłopotów, przygotowali tylko miejsca do spania. Zaraz bowiem po zakończeniu olimpiady hotel miał się zmienić w kompleks mieszkalny. Wszystkie apartamenty zostały zakupione przez seulczyków już w trakcie budowy.

— Co jedliście — i gdzie?

— Gigantyczna stołówka przygotowywała posiłki dla ponad piętnastu tysięcy zawodników i trenerów. Jedzenie stało w pojemnikach na tzw. szwedzkich stołach. Nabierało się samemu na talerz, co się chciało i ile się chciało, po czym, z tacą, szukało się miejsca, by usiąść. Nie było podziałów na kuchnię narodową, ale można było znaleźć wszystko co człowiek zamarzył. Nie mając zaufania do potraw nieznanych i wymyślnych, braliśmy najczęściej kolęty schabowe, pieczony drób, jajecznicę, makaron. Mie so miało, jak to określił ktoś z naszej grupy, smak nylonowy. Pyszne za to były warzywa i owoce ze wszystkich ogrodów świata, salaty i sałatki, napoje, sok i nielezione gatunki ciast — poza jednym: ani razu nie trafił się na makowiec. Mnie na tym łącie królewskim stole najbardziej zachwyciły winogrona, nieprawdopodobnie duże i słodkie.

— Przed rozpoczęciem olimpiady Teleexpress podał informację, że w restauracjach seulskich jada się pieczone psy i myśli o tym nie dajcie się pokonać.

— Byłem kiedyś w Phenianie, stolicy Korei Północnej i widziałem tam restauracje, w których podają psie mięso. Sam oczywiście nie jadłem. W Seulu nie zdarzyło się nam jadać poza stołówką, w której państwo jadło z pewnością nie było. Nie było również dzidzownic, jaskółczych gniazd, chrabaszczy, żab, ostrzyż i ślimaków. Były jedynie krewetki i rozmaite ryby.

— Co się Panu szczególnie tam podobało?

— Pomieszczenia do ćwiczeń ogólnorozwojowych. Były tam cykloergometry japońskiej produkcji, służące do zbijania kalorii. Siada się na czymś takim jak na rowerze, włącza pedałowanie, a przedtem daje do komputera swoje dane: wzrost, wiek, wagę. Mija kwadrans i na monitorze ukazuje się wynik. Zebym się nie nudziło, jednym ruchem można uruchomić program TV. Była tam także pływalnia, sauna, stoły do tenisa, bilard, gry automatyczne, kino.

— Były też jakieś koncerty, może teatr?

— Tak, każdego wieczoru coś się działo w centrum kulturalnym w wiosce. Trafiałem raz na pokaz paryskich domów mody połączony z rewią Folie-Berger.

— Proszę przypomnieć, jak spisał się w Seulu Pańscy podopieczni.

UŚMIECH SEULU

Z MIECZYSLAWEM KUBIAKIEM — TRENEREM KADRY NARODOWEJ STRZELCÓW I SEKCJI STRZELCKIEJ KS „GWARDIA” W ZIELONEJ GÓRZE
ROZMAWIA HALINA ANSKA

— Najlepiej Adam Kaczmarek z klubu „Zawisza” w Bydgoszczy, aktualny mistrz świata, od osmiu lat należący do kadry narodowej; był piątą w strzelaniu z pistoletu szybkostrzelnego. Krzysztof Kucharczyk z klubu „Ślask” we Wrocławiu, aktualny wicemistrz Europy, zajął miejsce jedenaste. Zielonogórzanin Dorota Bidołach zajęła dziesiątą lokatę.

— Jak przebiegał dzień olimpijski?

— O godzinie 5.45 pobudka, potem śniadanie i odjazd na trening do strzelnicy położonej około 25 kilometrów od centrum wioski, nie „nowej” — bo już w roku 1978 rozgrywano tu mistrzostwa świata, ale odświeżonej i unowocześnionej. Po treningu powrót do hotelu, obiad, a po obiedzie, założywszy na szyję kartę akredytacyjną, można było chodzić sobie gdzie się chciało. Były też wycieczki zorganizowane. Grupa strzelecka pięciokrotnie wyjeżdżała autobusem zwiedzać miasto.

— Trening — to tylko strzelanie?

— Zawodnik najpierw robi sobie rozgrzewkę i tzw. suchą zaprawę strzelecką przez podnoszenie pistoletu bez strzałów. Potem ma czas na strzelanie. Czas ten na zawodach wynosi 40 minut.

— Wychował Pan dwie mistrzyni: Dorotę Bidołach i Julitę Macur. Co Pan o nich powie?

— Dorota w ubiegłym roku została mistrzynią Polski w pistolecie pneumatycznym i wicemistrzynią w sportowym. Dojrzała jako zawodniczka i wykazuje coraz mniej emocji. Jeśli przyjmujemy oceny szkolne, to moim zdaniem jej wyniki dotychczasowe zasługują na czwórkę. Dobrze zniósła obciążenie psychiczne na olimpiadzie. Dziesiąte miejsce wśród czterdziestu zawodniczek z czołówek światowej nie jest miejscem najgorszym. Konkurencja wymaga 60 strzałów, a każdy strzał liczy się od jednego do dziesięciu punktów. Dorota otrzymała 582 punkty i tylko dwóch jej zabrakło, by znalazła się w finale. Na zawodach o puchar świata w Moskwie w lipcu tego roku, zajmując ósme miejsce, zdobyła 587 punktów i tylko trzynastu zabrakło do pełnej sześćsetki! O dwa lata młodszą Julitę Macur jest wicemistrzynią świata z roku 1983 w pistolecie pneumatycznym i wielokrotną mistrzynią Polski. W ubiegłym roku w Monachium wygrała puchar świata. Szkoda, że w Seulu nie były obydwie moje wychowanki.

— Jak Pan trafił do strzelectwa?

— Pochodzę z Sierakowa pod Rawicem, do szkoły chodziłem w Polkowicach i Nowej Soli — i już tam, jak każdy chłopak, kopalem piłkę. Ale ciągnęło mnie do zabawy z bronią. Wyobrażałem sobie, że broń dodaje wagi. W 1956 roku sprowadziłem się do Zielonej Góry i tu uzyskałem pierwszy dobry wynik w strzelaniu, przy zdobywaniu odznaki „Bądź sprawny do pracy i obrony”. Zetknąłem się z Józefem i Ryszardem Sadurskimi, którzy mieli osiągnięcia w strzelectwie i bardzo mi imponowali. W 1960 roku wstąpiłem do sekcji strzeleckiej w Klubie Sportowym „Gwardia”. Nie osiągałem jednak większych sukcesów jako zawodnik. Teraz, z perspektywy czasu myślę, że byłoby inaczej, gdybym miał odpowiedniego trenera. Bardzo dużo zależy od trenera, od jego spostrzegawczości, wyczuwania, umiejętności prowadzenia zawodnika.

— Gdzie zdobył Pan trenerskie szlify?

— W 1973 roku ukończyłem dwu i półletnie studium trenerskie w Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Jestem trenerem w broni krótkiej w pięciu konkurencjach — w pistolecie: dowolnym 60-strzałowym mężczyźni, pneumatycznym 60-strzałowym mężczyźni, szybkostrzelnym dwa razy po 30 strzałów mężczyźni, sportowym 30 plus 30 strzałów kobiet oraz pneumatycznym 40-strzałowym kobiet. Jestem trenerem kadry narodowej w pistolecie szybkostrzelnym. Pozostałe konkurencje prowadzę w klubie „Gwardia” w Zielonej Górze.

— Był trenerem klubowym, a trenerem kadry to różnica. Są też trenerskie klasy. Jak osiąga się takie awanse?

— Dotyka Pani sprawy drażliwej. System ocen pracy trenera prowadzący do awansów, jest, nie tylko moim zdaniem, niewłaściwy. Bierze się pod uwagę najczęściej staż pracy. Tymczasem powinien się liczyć osiągnięcia! I to nie trener powinien zabiegać i upominać się o awans, ale władze sportowe same powinny znać i nagradzać jego zasługi. Trenerzy, to ludzie z drugiego szeregu. Kreujemy gwiazdy, ale sami pozostajemy w ich cieniu. Pewnie dlatego nie zawsze jesteśmy dostrzegani.

— Julita Macur powiedziała mi: „praca trenera kadrowego to nie sielanka, musi on walczyć”. O co?

— O przydział broni i amunicji, wyjazdy, pierwszeństwo, punkty. Walczy się z biurokracją, zazdrością, zawiścią, stresem, zniechęceniem, obojętnością. Z samym sobą po doznanych rozczarowaniach czy porażce. Dużo siły traci się na

walkę, nie zawsze potrzebną i nie zawsze skuteczną.

— Trener kadry narodowej jest człowiekiem światowym. Gdzie Pan zdążył już być?

— W Grecji, Hiszpanii, Danii, Finlandii, Jugosławii, Meksyku, Korei Południowej i Południowej, na Alasce, kilkakrotnie w RFN i ZSRR oraz we wszystkich krajach socjalistycznych. Najmiej wspaniałym Finlandie, kraj niesłychanie sympatyczny, w którym człowiek czuje się wyjątkowo dobrze. Najlepiej zorga-

— Właśnie niewiele. Po powrocie byłem zaskoczony, że sprawa Bena Johnsa przybrała takie rozmiary. Podczas mojego pobytu na olimpiadzie, czyli od 7 do 26 września na temat środków dopingu mówiono mi mało i bez emocji, przynajmniej w kołach, w których ja się poruszałem. Informację o pobiciu sędziego nowozelandzkiego w turnieju bokserkim otrzymaliśmy oficjalnie. Ale ani ja, ani nikt z naszej grupy nie miał kontaktu z tymi wydarzeniami.

— Czy zdarzyło się kiedyś, by polski strzelec miał takie kłopoty, jak Ben Johnson?

— Zdarzył się taki wypadek na zawodach w NRD. Zawodnik ten w związku z przewlekłą chorobą zazywał propranolol. Międzynarodowy Komitet Olimpijski wydał zakaz zazywania pewnych leków. Spis obejmuje dwa tysiące pozycji. Jak każdy człowiek, tak i sportowiec niekiedy choruje i leczy się farmakologicznie. Powinien wtedy dokładnie sprawdzić, czy leki, które bierze, nie zawierają składnika zakazanego. W przypadku stwierdzenia, że zawodnik zazył środek o właściwościach dopingujących, powinno się pociągnąć do odpowiedzialności nie tylko jego samego, ale także lekarza, który się nim opiekuje. Zawodnik nie zawsze zna się na medykamentach, natomiast lekarz znać się musi. Choć może być i tak, że zawodnik zazyje coś bez wiedzy lekarza.

— Słyszał Pan tam, na miejscu, komentarze po wyborach miss wioski olimpijskiej?

— O tym, że były takie wybory, dowiedziałem się w ostatnim dniu pobytu w Seulu, a o tym, że najlepiej wypadła Polka — dopiero w kraju. Nikt nam nie gratulował, nie na ten temat tam nie słyszałem i nie czytałem. Była to jedna z bardzo wielu mniej ważnych imprez, bez reklam i rozgłosu. Co nie umniejsza laurów oraz urody Teresy Folgi.

— Ciekawe, jak wypoczywa po pracy człowiek tak silnie tkwiący w sporcie, jak Pan.

— Jestem domatorem. Działka, dzieci, wnuczki, dwa psy. Kiedyś grywałem w



Mieczysław Kubiak: Kreujemy gwiazdy, lecz sami pozostajemy w ich cieniu...

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

nizowane imprezy sportowe odbywają się w NRD. Największa moja przygoda zagranicą, to olimpiada w Seulu. Miałem być w Moskwie, ale znalazł się trener ważniejszy i on pojechał na olimpiadę, a mnie w zamian przypadł wtedy wyjazd do Madrytu.

— Utkwił mi w pamięci tytuł publikacji w którymś z tygodników: „Niemożna rozmawiać ze światem”. O przeciwnym Polaku, który zna tylko język własny.

— Pod tym względem wyróżniamy się negatywnie wśród innych nacji. W takim np. Meksyku każde dziecko poza hiszpańskim zna także angielski na tyle, że potrafi się porozumieć z cudzoziemcem. W Europie wystarczy znać niemiecki i sporo Polaków mówi tym językiem jako-tako. Ale gdy człowiek wyruszy dalej, odczuwa brak znajomości angielskiego. W polskiej ekipie w Seulu, na 220 osób, dwadzieścia znało angielski trochę, a tylko trzy biegle. Sprawa leży u podstaw: nasze szkoły nie przywiązują wagi do nauki języków.

— Ta olimpiada przejdzie do historii skandali sportowych. Co mówiono tam na ten temat?

byrdza na turniejach. Teraz urządzamy rodzinne czwórki byrdzowe. Bardzo lubię muzykę. To wszystko.

— Jak przedstawia się strzelectwo zielonogórskie na tle kraju?

— Cieszę się, że Pani o to zapytała. Jesteśmy bez przesady najmniejszym ośrodkiem tego sportu w Polsce. I to od lat! Od braci Sadurskich — do Jagodzińskiego, Macurów i Bidołach! Zainteresowanie tym sportem jest bardzo duże. Nasza strzelnica stale oblegana jest przez młodzież. Adeptów nie brakuje, a ośmiu trenerów nie narzeka na brak zajęć. Warto jeszcze powiedzieć, że Klub Sportowy „Gwardia” w Zielonej Górze jest 19-krotnym drużynowym mistrzem kraju w strzelectwie i teraz przymierza się do wygrania pucharu Polski.

— Zręczę więc wygrania i dziękuję za rozmowę.

niemal w majestacie prawa”. Gazeta przypomina, że nie tak dawno temu wystąpił poseł Juliusz Curtius, który gwarantował „respektowanie przez władze Republiki wszystkich praw ludności polskiej w obrębie niemieckiej państwowości. Wypadki, które w ostatnich tygodniach miały miejsce w Chwalimiu, nie tylko zadają klam temu zapewnieniu, ale pogarszają znacznie i tak już napięte stosunki między Polakami i Niemcami w tym regionie”.

Powyższy tekst, utrzymany w duchu tradycji przez „Tygodnik Zielonogórski” uprawianej publicystyki na temat stosunków polsko-niemieckich, wywołał falę wystąpień ultranacjonalistycznej prasy niemieckiej, w tym także wychodzącego w Zielonej Górze „Dziennika Zielonogórskiego”. „Fall Chwalim” stał się okazją do niewybrednych inwektyw pod adresem ludności polskiej, a także sygnałem do „zdecydowanego ataku na polskie instytucje kościelne, oświatowe i spółdzielcze, którego nigdy jeszcze w prasie niemieckiej nie było”, jak to sformułował złotowski „Głos Pogranicza”.

„Dziennik Zielonogórski” — organ miejscowych nacjonalistów, gazeta o skrajnie antypolskich poglądach, ogłosiła w numerze 17 z 1921 roku „tędyż entuzjastycznie bezczelną akcją polskich szowinistów, rozdmuchaną przez polską propagandę i podjętą przez nieodpowiedzialne piśmiotwo w rodzaju Tygodnika Zielonogórskiego, będącego na żołdzie bolszewicko-żydowskiej reakcji”. Na łamach gazety ukazał się „List otwarty obywateli gminy Chwalim”, w którym to „zdecydowanie cała społeczność wiejska Chwalimia protestuje przeciwko wypaczonym relacjom z przebiegu wystąpień „protestacyjnych” niemieckiej ludności wsi przeciwko samowolnym atakom Polaków, usiłującym gwałtem i podstępem skorygować odwieczne niemieckie prawa do tych ziem”. Nie potrzeba specjalnie wyjaśniać, że „List otwarty...” był od początku do końca wymyślnym dziełem rozhisteryzowanych mocodawców gazety, co też „Tygodnik Zielonogórski” niebawem podał do publicznej wiadomości.

„Tygodnik Zielonogórski” zwrócił tak też uwagę na fakt, że wkrótce po utworzeniu państwa polskiego, mniejszość niemiecka mieszkająca w granicach Polski powołała do życia swoje organizacje i partie, reprezentujące ich interesy gospodarcze i kulturalne. Wszystkie te organizacje zastrzegły się przeciwko sądzaniu ich o działalność finansowaną z Rzeszy i dyktando polityczne skierowane wyraźnie przeciwko Polsce. Wszystko to zmierzało w kierunku przywrócenia ziem byłego zaboru pruskiego Rzeszy Niemieckiej. Działalność tzw. „Deutschumbundu” zmusiła władze polskie do rozwiązania tej organizacji. Pod płaszczykiem „popierania rozwoju gospodarczego i kulturalnego mniejszości niemieckiej w Polsce” członkowie tego związku uprawiali najnormalniej szpiegostwo polityczne przeciwko państwu polskiemu.

Mieszkający w Zielonej Górze w okresie międzywojennym pisarz niemiecki Eberhard Koenig prozaiak nie najwyższego lotu ale za to o wyraźnych inklinacjach nacjonalistycznych i antypolskich poglądach wydał w roku 1927 powieść „Die brennende Grenze” („Płonąca granica”). Opowiada Koenig w tej książce o życiu na pograniczu polsko-niemieckim na Śląsku i Wielkopolsce w tonacji czarno-białej, przy czym w kolorze czarnym jest wszystko co polskie, w białym — niemieckie. W „dziele” Koeniga pełno jest epizodów przypominających wydarzenia w Chwalimiu, prowokowanych przez „bandy polskich nacjonalistów”, „fanatycznych polskich księży” i „militarystycznie usposobionych polskich nauczycieli”. Tendencję tej powieści, jej mierny poziom literacki nie uszedł uwadze recenzenta, „Tygodnika Zielonogórskiego”: „Książka pana Koeniga ukazała się w czasie, kiedy oficjalni przedstawiciele rządu niemieckiego na forum Ligi Narodów ponownie zapewniali o pokojowych intencjach władz i rozwijaniu dobrosąsiedzkich stosunków z mniejszością polską w Rzeszy. Nie ma więc przewrotniejszego, aniżeli dzieło pana Koeniga na poparcie tej intencji”.

JERZY PIOTR MAJCHRAK

Pocztówka z Chatynia

Chrystus prawosławny w postaci kowala
tu ze spalonych powstał
by na rękach nie ostyglych od wszystkich ran świata
syna marnotrawnego wynieść z ognia dziejów
i w godzinie śmierci
złożyć u stóp ojczyzny broczącej w jutro
a hosanna skowronków szła z nim krok w krok
po tej Gólgocie Białorusi
zanim znów go spalili

Przyczynek do biografii Syzyfa

Za wyzbycie się złudzeń
jak wirusa aids
bogom ofiary składał
Na wieżę Eifla
codziennie wtaczał kulę słońca
u szczytu uwalniał z objęć
ku rozpacz gawiedzi
Dla zachowania sił
po nocach mięśnie ćwiczył
i wolną wolę
Stała już naga Mont Blanc
Rozglądano się jeszcze za głazem
wielkim jak katedra w Kolonii
by w przyobiecany Raju
mógł się nim do woli nacieszyć

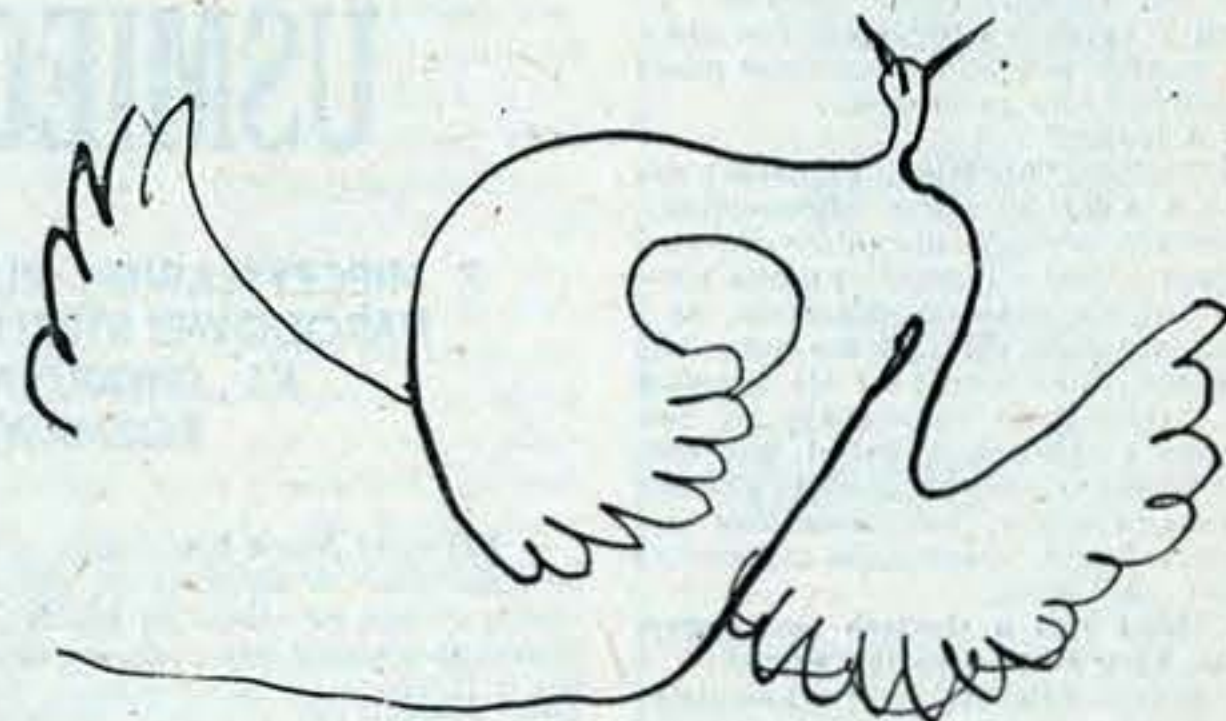
Rys. ROMANA KASZCZYC

Fatum

Krew jeszcze się waha
choć dawno po burzy
noc — strachu wataha
tylko to przedłuży

wszystko obmyślone
gdzie dół a gdzie góra
niechaj słońca ogień
wypali się w chmurach

naostrzone noże
sznur gotowy płachta
nie się stać nie może
Kain dopadł Abła



Janusz Koniusz zadebiutował w roku 1958 poetyckim arkuszem „Tempo krążenia” szybko zauważonym przez czytelników i krytykę literacką. Trzy lata później wydano „Ślad przelotu”, bardzo ciepło przyjęty przez Juliana Przybosa, który uznał młodego poetę za spadkobiercę Leopolda Staffa. W 1970 roku ukazała się „Ziemia w stopach”, zaś w 1981 zbiór najlepszych utworów w dorobku pisarza, „Zamysł opisu”.

W trzydziestą rocznicę pracy twórczej J. Koniusza Wydawnictwo Poznańskie opublikowało obszerny wybór jego wierszy dawnych i nowych. Niemal wszystkie utwory zamieszczone w zbiorze pt. „Z Kaina i Abła” różnią się od swych pierwowzorów — podległy zmianom i przeróbkom autorskim, bowiem Janusz Koniusz należy do tych twórców, którzy nieustannie „sięgają wstecz”, doskonalą swój warsztat pisarski i czują słowo.

Mając przed sobą ów jubileuszowy zbiór — pragnę się podzielić własnymi przemyśleniami, refleksjami, próbami typologicznymi na temat wierszy autora „Z Kaina i Abła”.

Cywilizacja to zbyt obszerny termin na oznaczenie jego twórczych zainteresowań. U Koniusza możemy ten termin zawęzić do kilku problemów — stworzenia świata, fascynacji Biblią, Historią, Czasem, zagajenia się Erosem, własną sztuką poetycką, wreszcie — do prób nazywania świata i stosunku do rzeczywistości. Poeta w zachwycie spogląda na fenomen cywilizacji. Świat uważa za zagadkę, którą należy obejrzeć dokładnie nie ze wszystkich stron. Jak powstała ziemia? Może w myśl teorii Oparina, może tak, jak chce biologia lub — jak każe

Biblia.

Koniusz zdaje się wielokrotnie być pod wpływem opowieści biblijnych. Znamienne w tym przypadku brzmi tytuł zbioru Przywoływani są pierwsi rodzice, a częstym bohaterem jest Noe. Wielkie pytania biblijne są w ustach poety powtórzone jedynie dla retoryki, nie jest bowiem ważne, kto kogo zabił, „Kto kogo przeżył”. Co jest prawdą, a życie idzie naprzód. To jednocześnie postawa Heraklita — kontemplacyjno-obszerny. Takie widzenie pozwala na manipulowanie czasem, przesłonięciem faktami i postaciami. I tak, Biblia, mimo atrakcyjności, pozostawia jest tego, co w niej najważniejsze — boskość i siły wyroczni, czasem piękna. Świat biblijny jest zwyczajny, jakby dziejący się pomiędzy nami, Noe nie jest już mądrym przewidującym starcem, lecz — o ironio — dziadem, co „deszczówkę chleptał”. Te wiersze budowane są na pograniczu satyry, kpiny z wartości, zdawałoby się najwyższych: „Osiadła na Araratcie arka / śmieje się Panu Bogu w twarz” („Po potopie”) Noe nie nie rozumiał z boskich nauk, nie wiedział dlaczego, obdarzony boską łaską — pozostał prymitywny i nieokrzesany.

Motywy Araratu funkcjonuje u Koniusza na prawach obsesji. W innym wierszu góra jest synonimem wielkości i nieśmiertelności Boga. Trwa poetycki zachwyt nad doskonałością: „przysiąść z zachwytem” — śpiewa swą pieśń dziecku czynienia poeta, który jednocześnie utożsamia się z małym, nie nie znaczącym kamyczkiem, samotnym wśród miliardów innych samotnych. I chyba tylko samotność i „małość” są prawdziwe. Wszystkie dotychczasowe aksjomaty są względne. W takim umownym świecie równie dobrze — Abel mógł za

bic Kaina. Względność jest deprimująca, może więc lepiej oprzeć się na innej wartości? Oto, bowiem na poezji Koniusza ciąży motywy

Historii.

Ba, autor, jak każdy Polak — jest nią dosłownie skażony. W wielu wierszach dochodzi do spiętrzenia informacji, reminiscencji — walki, upadku, śmierci... Narodowi i jednostce dzieje

Szkice do portretu

Małgorzata Kowalska-Masłowska

się krzywdą. Nie ma radości, zaś cywilizację gniebi Historia — wojny, klęski, krew, rany. Świadomość przemijania i naturalności tego procesu jest wręcz przytłaczająca. Jednostka nie jest bowiem podmiotem — zdarzeniem, ale obiektem manipulacji: „czeka mnie rozkład na czynniki pierwsze / jestem bez szans” („Notatka z wycieczki do klasztoru”).

U Koniusza teraźniejszość ciągle ogląda się wstecz. Jerzy Kosiniński na spotkaniu w klubie „Stodoła” wypowiedział słowa znamienne: „My jesteśmy okupowani przez historię. Dla nas historia to jest uraz psychiczny, cywilizacja to jest potworna rzecz (...)”. Doskonale ilustruje to obsesję autora „Z Kaina i Abła”. Historia to dla niego „samotna wdowa”, która niewiele oszczędza. Człowiek nie jest kreatorem, lecz burzycielem. Opowieść o historii u Koniusza jest opowieścią o niszczycielu. Jak zachowuje się ów człowiek — siła niszcząca? Gdy mówi „Ty”, to nie tylko ko zwraca się do kogoś drugiego, lecz jednocześnie — patrzy w lustro, bowiem rozmawia z samym sobą. Wypomina wtedy — mianę wielkości, okrucieństwo, przesadną odwagę, ośmieszanie niepowtarzalność. Choć może kryje się w tym wiele samouwielbienia, bardzo smutnego i żalnego. Człowiek jest skażony i chory: „pośród lotrów Boga przybijasz gwóźdźmi do drewna”, „od cho robotwórczych bakterii w twoim ciele dech zapiera” („Ty”). Dochodzi nawet do stanu, iż w innym wierszu obraz destrukcji pogłębia się: „Ociężał od pamięci jak z przejedzenia / idziemy nie wiadomo dokąd” (wiersz o powyższym incipicie). I nie tylko wpływa na ów stan wielka historia, ale najwzajemniejsze przemijanie, gdzie prawidłowością jest zapominanie.

Czy coś w takim razie ma szansę po nas pozostać? Koniusz jest sceptyczny i bardzo konkretny: „Tylko Biblii bań pozostać / przez wszystkie wieki”. Jednocześnie poeta zaprzecza lacińskiemu powiedzeniu i z gorczą stwierdza „A jednak wszystkich umrę / jak to wynika z historii” (xxx). „Jest we mnie”. Ciągły w tym niedosyt życia, wartości i poczucia bezpieczeństwa. Ze wsad czyha śmierć, „bakterie”, „choroba popromienna”, by wspominać najwazniejsze słowa-klucze tej poezji.

Cofanie się i oglądanie wstecz są odstawianiem tragicznego zastan. I tak — tragiczna jest postać Don Kichota, pechowa, smutna, autonomiczna, opowiadająca wyobraźnię sturturewanego Cervantesa. Podobnie tragiczny jest Rafael „z ryńskiego monastynu”, geniusz

żyjący dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

IRONICZNY ABEL

Małgorzata Kowalska-Masłowska

się krzywdą. Nie ma radości, zaś cywilizację gniebi Historia — wojny, klęski, krew, rany. Świadomość przemijania i naturalności tego procesu jest wręcz przytłaczająca. Jednostka nie jest bowiem podmiotem — zdarzeniem, ale obiektem manipulacji: „czeka mnie rozkład na czynniki pierwsze / jestem bez szans” („Notatka z wycieczki do klasztoru”).

U Koniusza teraźniejszość ciągle ogląda się wstecz. Jerzy Kosiniński na spotkaniu w klubie „Stodoła” wypowiedział słowa znamienne: „My jesteśmy okupowani przez historię. Dla nas historia to jest uraz psychiczny, cywilizacja to jest potworna rzecz (...)”. Doskonale ilustruje to obsesję autora „Z Kaina i Abła”. Historia to dla niego „samotna wdowa”, która niewiele oszczędza. Człowiek nie jest kreatorem, lecz burzycielem. Opowieść o historii u Koniusza jest opowieścią o niszczycielu. Jak zachowuje się ów człowiek — siła niszcząca? Gdy mówi „Ty”, to nie tylko ko zwraca się do kogoś drugiego, lecz jednocześnie — patrzy w lustro, bowiem rozmawia z samym sobą. Wypomina wtedy — mianę wielkości, okrucieństwo, przesadną odwagę, ośmieszanie niepowtarzalność. Choć może kryje się w tym wiele samouwielbienia, bardzo smutnego i żalnego. Człowiek jest skażony i chory: „pośród lotrów Boga przybijasz gwóźdźmi do drewna”, „od cho robotwórczych bakterii w twoim ciele dech zapiera” („Ty”). Dochodzi nawet do stanu, iż w innym wierszu obraz destrukcji pogłębia się: „Ociężał od pamięci jak z przejedzenia / idziemy nie wiadomo dokąd” (wiersz o powyższym incipicie). I nie tylko wpływa na ów stan wielka historia, ale najwzajemniejsze przemijanie, gdzie prawidłowością jest zapominanie.

Czy coś w takim razie ma szansę po nas pozostać? Koniusz jest sceptyczny i bardzo konkretny: „Tylko Biblii bań pozostać / przez wszystkie wieki”. Jednocześnie poeta zaprzecza lacińskiemu powiedzeniu i z gorczą stwierdza „A jednak wszystkich umrę / jak to wynika z historii” (xxx). „Jest we mnie”. Ciągły w tym niedosyt życia, wartości i poczucia bezpieczeństwa. Ze wsad czyha śmierć, „bakterie”, „choroba popromienna”, by wspominać najwazniejsze słowa-klucze tej poezji.

Cofanie się i oglądanie wstecz są odstawianiem tragicznego zastan. I tak — tragiczna jest postać Don Kichota, pechowa, smutna, autonomiczna, opowiadająca wyobraźnię sturturewanego Cervantesa. Podobnie tragiczny jest Rafael „z ryńskiego monastynu”, geniusz

żyjący dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

żający dla swej sztuki w rozdarcie między służbą u diabła i Turka (jedno przeciw Bogu, drugie przeciw narodowi). Równie żalony jest los rozstrzelanych śląskich harcerzy i dzieci idących na śmierć z Januszem Korczakiem. Dobrze, gdy J. Koniusz utożsamiając historię z tragedią ogranicza się do refleksji. Zdarza się jednak, iż bawi się w moralizatora. Wtedy związek z przeszłością służy ukazaniu choroby i zepsucia współczesności, obra-

pól leksykalnych dotyczących kopalni i katedry (hostia słowa, w kruchcie chodnika w stalach sztolni, w kryptę spągu, pastorał kilofa, itd.), przy jednocześnie wymieszaniu i krzyżowaniu owych pól. Otrzymujemy wykreowany interesujący, dramatyczny zapis umiarkowania, opatrzone autorskim komentarzem. Świadomość poetycka cierpi bowiem w dwójnasób — poeta jest człowiekiem wrażliwym i nie godzi się na bezsensowną okrutną śmierć niewin-

nych ludzi, jednocześnie, jako artysta, zakochany w Śląsku i górnik

— a niestety nie mam globulek przecież żadna krowa nie zechciała mi sprzedać nawet jednej, czekawo udało się ukręcić siostrze pudełko z ostatnią więc mi pokazał, obiecał że kiedyś jeszcze ukradnie specjalnie dla mnie tylko nie wiedział kiedy.

— siostra się często rucha — oznajmił — była wściekła kiedy jej to buchnęłam i na pewno zaraz sobie kupi nowe (...)

— a po co ci ona — mówiłem — a tobie po co — odpowiadał głupio, — o — mówiłem — je stem od ciebie o rok starszy i wiem po co wiem. — no po co — dziwił się niemądze kretyń zupełnie nie wiedziałem co powiedzieć — no to nie — oznajmiłem i odwróciłem się z pogardą, strasznie mnie denerwują takie przemądrzałe bachory wiedziałem że robi mi tylko na złość żeby się postawić gówniarz gówniarz gówniarz, splunąłem w górę poczekaliśmy aż ślina klapnie na chodnik przede mną i poszedłem sobie.

— czekaj no — cieszek zabiegł mi drogę — ja podglądam jak się jadzka rucha — zdradził drzącym piskliwym głosem a wyglądał tak jak by się miał zaraz rozplakać — mówię ci mówię ci.

— i co? — zapytałem z niechęcią bo jakoś nie mógł nic więcej powiedzieć.

— jak chcesz to możemy ją razem podglądać, wzruszyłem ramionami, — idź ty — spojrzalem na niego z politowaniem.

— jak bonie-dydy — zaklął się uderzając pięścią prawie po krtani — mówię ci tylko musimy się zacząć no kiedy to jadzki przyjedzie na rzeczony to oni zaraz jak tylko matki nie ma zaczynają się ruchać a jadzka tylko stęka i stęka...

— splunąłem jeszcze raz ale tylko dlatego że śliny mi naszło tyle że mógłbym się udiawić.

— ja tam nie podglądam dziewczyn, cieszek aż się skulił więc dodałem z udawanym ziewnięciem:

— już jestem za stary — po czym jeszcze raz splunąłem okropnie szorstko.

— wszystko widać — próbował mnie przekonać cieszek ale cichutko pod swoim piegawym nosem — jak narzeczony łapie ją za cyce i potem się na niej kładzie raz nawet spadł z kanapy a te globulki sobie wkłada do pizdy bo wtedy ma większą przyjemność.

W oczach mi potiemniała ziemia zakolebala się pod nogami musiałem chwycić cieszka za szyję żeby nie upaść, pomyślałem że on sobie chodzi z tą globulką w kieszeni paraduje jak gdyby nic potem ją zgubi albo wymieni na gumę do żucia albo jadzka przetrząśnie mu kieszenie da w ucho i włoży globulkę do pizdy o Jezu, myślałem że tego cieszka rozszarpie na miejscu a jego flaki rozwiesze na krzakach wokół szkoły, on zaś źle zrozumiał moją rękę na szyi bo wstał pil w niego energiczny duch i zaczął opowiadać:

— o ja wiem bo podsłuchałem jak jadzka rozmawia ze swoją kumpelą i ona ją namówiła że by kupować globulki wkładać się przed samym ruchaniem, zwyczajnie palcem i z tej globulki robi się w pizdzie pianka tak jakby się ubijało trzepaczką białko na pianę na pianę ona tak łaskocze, że każda kobieta o mało nie wyjdzie ze skóry tak jej dobrze mówię ci! — nagle wpadł mi do tej głębszej ryżawej głowy szatański pomysł i zaraz go wypaplał! — wiesz co zrobić? podłóż jej do pudełka coś innego za miast globulki! — zamyślił się.

— smalec — chciałem powiedzieć, mogłem tak powiedzieć i wtedy zająłbym się całą akcją i miałbym wystarczający pretekst żeby razem z tym gówniarzem podglądać jego siostrę na szczęście jednak nie powiedziałem nic, co się będzie dał z osmarkanymi fałdami, strzyknąłem silnie przez zęby z obrzydzeniem, dopiero teraz zrozumiałem że cieszek w ogóle nie jest tym wszystkim podnieconym niczego ten kurdupel nie zrozu miał pasjonowały go tylko wylgłupie robienie na złość ale tak naprawdę nawet nie wiedział o co tu właściwie chodzi, tej globulki też mi nie chciał dać tylko dlatego że chciałem jej chciałem za bardzo po prostu chciałem.

— zrobię z wosku — wymyślił kretyń — i pokładam zamiast prawdziwych jak sobie jadzka kupi wtedy dam ci jedną, — a sprzedaj mi tę co masz — zaryzykowałem, — za ile, — za gumę do żucia, — nie, — to pocztówki, — po co mi, — to proce, — proce? — no, — pokaż... — ale nie miałem żadnej procy mogłem ją zrobić musiałoby to jednak trochę potrwać, — mam w do mu, — to przynieś, — teraz nie mogę, — to nie — cieszek podrapał się po plecach i wyciągnął pudełko z kieszeni, w duchu zatarłem ręce już go wciągał ten handelek — dam ci globulkę za dziesięć etykietek od zapalek, — takich samych? — głupi? różnych i to takich których nie mam, — to skąd ci wezmę, — no więc za kilogram sa letry, — nie mam, — cieszek się zmartwił, milcząc chwilę podtubał kciukiem w nosie wreszcie zapytał: — a masz silnik na baterijkę? — nie, — no to latarkę, — tu mi zagralo wesoło w ja jeczkach rozhuśtały się beztrosko między nogami jak bombki na choince, — latarkę mogę ci dać, — to daj — cieszek cały czas poruszał war gami chyba obliczał czy mu się ta transakcja w ogóle opłaca, — a z kolorowymi szybkami? — upewnił się, — nie ale dobrze bije, — to go nie przekonało, pokręcił głową skrzywiony koszmarnie, — na płaskie baterie — zachwalałem, — ee wolę na okrągłe, — jest mała i można ją nosić w kieszeni, — wolę dużą, — z taką dużą gdzieś pójdziesz niewygodna i ciężka, — ale dołożysz mi cyrkiel od tego, — mogę dołożyć, zgodziłem się bo czemu nie, — i gumę do żucia, — dobra, — i pocztówki, — dobra — i fundujesz lodę, — mogę fundować, — to cieszka tak zmartwiło że popłabł a jego piegawata mordą zrobiła potwór ny grymas jak gdyby przyjechała po niej cię żarówka, wyciągnąłem do niego rękę — no dawaj, — a ten wredny gnoj schował pudełko do kieszeni i stwierdził: — nie sprzedaję żartowałem (...)

na szczęście pani przewidziała wszystko, — czekaj mój ukochany — powiedziała, chwyciła pudełko i wysypała na łóżko stos piskliwych pudełek — włożył sobie globulkę dla ciebie to też będzie przyjemniejsze.

no jasne wiedziałem o tym, kutasik tak się na przeżył że o mało nie pękła na nim skórka.

pani wyciągnęła jedną lśniącą kosteczkę z pudełka, pokazała mi ją trzymając w dwóch palcach, pomiędzy długimi polakierowanymi staran nie paznokciami globulka lśniła jak prawdziwy diament podobna do perły z największych głębin oceanu, podobna do srebrnej landrynk, pani polizała ją ze smakiem, na globulce została kropka śliny przypominająca do zrudzenia lukier.

— z tego będzie piany — powiedziałem obie cując, — tak dużo piany — uśmiechnęła się z ekstazą, włożyła globulkę do dziury popchnęła

ją palcem po czym spojrzała na mnie zagadkowo, — nie będziemy sobie żałować przyjemności prawda? — szepnęła i włożyła do dziury jeszcze jedną globulkę potem następną i następną, wci skala je sobie teraz kciukiem w taki sposób jak ładuje się pieniądze do automatu telefonicznego, opróżniała jedno plastikowe pudełko za drugim, patrzyłem zaurzeczony, wiedziałem że kobiety są pojemne w pizdach ale nie przypuszczałem że aż tak, globulki znikały w niej jedna za drugą nie omal same wskakiwały, zniknęły wreszcie wszystkie na podłodze obok łóżka został tylko stos pustych pudełek.

— chodź teraz — powiedziała pani wreszcie, szybko położyłem się na niej znów umoczyłem kutasika w dziurce, w środku było teraz chłodno ślisko i rzeczywiście przyjemniej niż przedtem.

— musimy zrobić pianę — szepnęła pani, podniosłem się kilka razy i opuszcłem stłoczone w dziurce globulki zaszmarały a pani zaczęła krzy czeć z rozkoszy — jeszcze jeszcze — krzyczała — mocniej mocniej, — wstydziłem się ale ona za wołała: nie wstydź się tak mi dobrze och och.

zacząłem więc uderzać kutasikiem jak trzepaczką do robienia piany z jajecznego białka, pani przyciskała mnie mocno do siebie i nie prze stawała krzyczeć śmiać się głośno i nawoływać na różne sposoby zupełnie tak jakbyśmy zjeżdża li z wielkiej lodowej góry wymijając po drodze małe sosenki podskakując na śnieżnych wyd mach zataczając łagodnie zakola kierowani za głębinami w śniegu, chłodny wiatr pisał nam w uszach śnieg chrząścił i chrząściła pianą z ubitych globulek, pracowałem dzielnie pot mi le ciało z czoła w puchach rzęziło czułem się tak jak bym robił pompki na wuefie ale mimo zmęcze nia sprawiało mi to wszystko tajemniczą radość,

PIERWSZE OPISANIE

Dariusz Biłner

(2)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

nie czułem nic ani łaskotania ani ciepła ani chło du ani nawet kutasika tylko podnosiłem się i opuszczałem zupełnie bez własnej woli plynąłem swobodnie po wzbieranym morzu fale mnie unosiły raz z razem i zapominałem o wszyst kim co do tej pory dręczyło mnie i gryzło i po żerało a globulki chlupotały ciemkały bułgotały za każdym uderzeniem kutasikowego tłuczka, czułem że zamieniłem się w mały wentyl przez któ ry wetka się we mnie pianą czułem jak w brzu chu wędrowała kiskami w górę i w dół przenikała tajemnym korytarzem do głowy aż wypychała bębniły w uszach a koniuszki palców cierpły i pulsowały, raz-dwa cały byłem napompowany pianą z globulek ciepłe mrowienie podobne do tego jakie czasem chwytą nogę na której się zbyt długo siedziało od stóp do czubka głowy, z roz przez miliony mrówek chciałem drapać się jak opętany tarzacz po podłodze wyć i skakać po ca łym pokoju takie rozkosze przenikały mnie do szpiku kości lecz nie mogłem przecież zostawić kobiety na pastwę losu nie mogłem przerwać jej radości w połowie, podrygiwałem jak elektrycz na trzepaczka a piany wylupluywała z dziury przybywało jej w niewygodnym tempie rozie wala się po pani zalewała ją rosła po obu mo ich stronach, a ja tylko trzepałem a ja tylko trzepałem, już zniknęła pod pianą twarz pani już zakryło mnie wystawała tylko głowa po chwi li i głowa zniknęła wszędzie była globulkowa pianą z chrzęstem przybywało jej ze wszystkich stron a ja tylko trzepałem chciałem pęknąć z rozkoszy i zniknąć w pianie rozerwany na mi liardy kawałków i trzepałem jak szalony aż wre szcie chrzęst bieli rozsądził mnie na strzępy a potężny wybuch rzucił pod samo niebo czarne pełne gwiazd... opadałem powoli w czysty obok mnie opadały niespiesznie klaczki piany opadało oko ucho wirując sobie opadały paznok cie język zwinięty jak rolmops rozsypane w proch kosteczki opadałem cały opadałem w kawałecz kach jak magiczny śnieg.

rano kiedy się obudziłem w kąciuku warg mia

łem jeszcze globulkową pianę i kutasik sterczał pionowo ciepły, taką moc kryła w sobie książka o dziejach wołodki dobinina, zacząłem czytać na lekcjach różne książki pani patrzyła na mnie z coraz większym podziwem już mogłem się nie kryć byłem pani wybrankiem autorytetem z któ rym musiała się liczyć, byłem jej mężczyzną, często kiedy przechodziła kładła rękę na mojej głowie gdzie też mogłem położyć rękę na niej ale wolalem zachować należyty dystans, kobietę trzeba trzymać krótko dobrze o tym wiedziałem nie można okazywać jej swego uczucia zbyt często bo zaczynają być niezdolne, prawdziwy kowboj jest wyrozumiały ale nieugięty wobec swojej klaczy, przede wszystkim od niej wymaga dopiero potem pozwala na wybryki a przede wszystkim sam ją wychowuje przyzwyczajając do swoich potrzeb i nie okazuje słabości, dopiero wtedy taka klacz jest wierna i doskonała, marzyły mi się pełne dostojęstwa krowy i oslice, adas mówił że pizdy są olbrzymie cuchnące i wyglądają jak obrzygane, jego wuj wkładał całą rękę krowie a ona nawet tego nie zauważyła.

— śmierdziała wstrętnie — powiedział adas — i pełno much siadało na tej pizdzie a potem wuj pokazał mi takiego grupka który wkładał krowie fajfusa to od tego zrobił się taki głupi nawet mówić nie umie tylko buczy a smarki mu wiszą aż do brody bo jak się zadaje że zwierzę tami to pada na móżg czasem wyrastają rogi i takie kudy jak u wilków i takiego grupka jak się go przylapie że idzie do krowy z fajfusem

nitki ni tasienki dziwne wodorosty pnąca wszy stko dęgało poczułem nawet, że palec obsiadły bąbelki przybywało ich im dłużej trzymałem pa lec, całkiem przyjemne było też ściskanie palca w miejscu gdzie wychodził z pupy och tak właś nie powinna ścisnąć kutasika zakochana pizda, wysunąłem palec i włożyłem go na powrót kil ka razy ale nie sprawiło mi to większej radości tylko taką sobie, w każdym razie kamień się je szcze we mnie nie rozbili byłem w porządku, z przyjemnością za to wkładałem sobie teraz do ot woru z tyłu różne rzeczy: kawałek olówki świe czkę ale nie grubą usilowałem wepchnąć grub szą natarłem ją smarem do maszyny do szycia była tak śliska że uciekała mi z rąk jak wie wiórka ale do dziury nie mogłem jej wepchnąć wszedł tylko sam czubek tam gdzie świeca zwęzła się i zaczynała knotem postawiłem ją nawet na podłodze i próbowałem na niej uścisnąć lecz niestety, wydawało mi się że weszła całut ka a nie weszła jej wcale przy czym nie mogę powiedzieć aby nie było to przyjemne psiakrew cholera to było naprawdę w jakiś sposób fajne sam nie wiem dlaczego, postanowiłem sobie że jak będę duży i będę miał żonę nauczę ją tej przyjemności i w naszym domu zawsze będzie masę świeczek od cieniutkich do bardzo gru bych żebym mógł jej wkładać do pupy raz taką raz taką, udało mi się też wepchnąć do swojej dziury chyba z pięć albo sześć metrów sznurka wciskałem go kawałkami nie właściwie nie czu jąc ale za to kiedy wyciągałem ho ho jak wycią galem to chciało mi się tańczyć z radości tak przyjemnie łaskotało jakbym zamiast sznurka wy ciągał z siebie kregosłup.

ale te zabawy nie usłyły we mnie marzenia o zakazanym zbliżeniu do jakiejś suki, kiedy byłem na wsi wypatrywałem odpowiedniej okazji (cho ciaż psa się bałem mógł przecież ugryźć świni brzydziłem się więc w grę mogła wchodzić na przykład krowa, musiałem tylko stanąć na czymś upatrzyłem sobie puste skrzynki po jabłkach i czatowałem, nie przejmowałem się tym gadaniem adasia że od tego można zidiociec no a nawet gdyby to przecież nie od jednego razu, och że bym chociaż włożył do jej pizdy rękę, może na wet weszłyby dwie złożone ze sobą ciekawe czy nie wszedłbym cały z głową albo choćby do pasa wcisnąć się tak w tę ogromną pizdę poczuć na całym sobie ten przyjemny ścisł lepek fałdek kurczącego się z zadowolenia wnętrza niech tam, gdybym tylko poczuł że te uściski za sysają zacząłbym wczłgać się jeszcze głębiej aż bym cały wszedł i zniknął no nie potrafiłem wyobrazić sobie tego szczęścia głowę bym jed nak dał że nie ma na świecie większego.

kobiety cipki mają malutkie więc co tam wejdzie palec fajfusa nie, więcej, uświadomiłem sobie że wuj adasia nie szukał tam kamieni tylko spraw dzał czy tamten idiota nie wlaź i nie schował się cały tylko co taki adas mógł o tym wiedzieć.

po kilku dniach udało mi się dopaść klaczy, stała sobie spokojnie za stajnią podniosła ogon jakby na mnie czekała doskoczyłem więc bez na myślu, lecz ona w tej właśnie chwili pierdnęła głośno i przeciągnęła od razu poczułem na głębie mokre cuchnące kropelki cały byłem w koń skiej kupie, ubranie całe ofadane nie miałem czego tam więcej szukać, ale przysięgłem so bie, że jakiegoś zwierzę to muszę dopaść tak łat wo nie rezygnuję.

pani jak ją sobie dobrze obejrzałem była w każdym miejscu obfita i jak się trochę skupi łem mogłem wyobrazić ją sobie jako niewielką krowę tyle że bez ogona, stanęłaby na czwo rakach cyki by jej wisiały jak wymiona nie tylko przysysać się i ciągnąć mleko musi być w niej zupełnie inne niż to w butelkach bo prze cięć mężczyźni lubią miłośność je tam ugniatać lizać i ssać, może są różne napoje u różnych i taka co ma zwyczajnie białe mleko zostaje sta ra panną nikt jej nie chce bo jaka przyjemność ssać mleko, a u niektórych można pić wodę so dową albo piwo sok pomarańczowy to rozu miem takie kobiety z latwością znajdą sobie mężów, są jeszcze prostytutki które kuszą face tów jakąś obrzydliwą wódką przysysa się taki do niej i chleje a potem ryga bo ta wódka jest ohydna potwornie i taka kobieta nie chce mieć męża tylko pieniądze za wódkę, smaczne wódki mężowie mają u swoich żon jeśli dobrze tra fią pociągnie sobie wtedy taki whiskey wiśniów kę szampańską i małżeństwo jest szczęśliwe.

moja pani ma oranżadę nie taką oszukaną jak w sklepie bez bąbelków i mdłą tak ma na gazowaną że po jednym łyku zaczynam bekać wszystko mi idzie do nosa leżą łyżki tam jest pra wdziwa oranżada zimna jak lód i słodka i ostra że ha, poczułem ją na podniebieniu tak tak ona została stworzona dla mnie, cisnęę lekko jej cycek a siknie i zapieni się orzeźwiający na pój natomiast kiedy dorosnę a ona będzie mnie bardzo kochać siknie co innego sok morelowy czerwone mocne wino którym razem upijemy się wesoło będę sikał do szklanki i podawał jej, tak jest nie miałem zamiaru rezygnować z mo jej pani. (...)

(CDN)

(Fragmenty prozy Dariusza Biłnera pochodzą z mie sięcznika „Twórczość” nr 12 z ub. r.)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Fakt, że w mieście wyniesionym nad pełną wilgotność powietrza pradolinę Odry powstała, powstaje i będzie powstawać istotna dla historii Polski artystyczna substancja duchowa, nie jest wcale bagatelny. Kolejny zbiorek wydany w muzealnej serii poetycko-plastycznej, tym razem Waldemara Mystkowskiego — „Człono czułości”, wymownie o powyższym zaświadcza. Zaświadcza i ukazuje, jak dynamika jednego aktu może wzbudować się w inny akt twórczy. I to wcale nie na zasadzie prymatu lub podległości. Historia sztuki i literatury nieustannie poucza, że o ich sensie i sile decyduje wielkość duchowych korespondencji, które mogą ukończyć dzieło. W wierszach Mystkowskiego czynnikami poszerzającym obszar odniesień jest malarstwo Anny Gapińskiej-Myszkiewicz. W jaki sposób?

Istota owej korespondencji (tajemnica ze swej właściwości) nie polega na reakcji wprost, która prowadziłaby do



żyć — jak w wierszu „Toccata” — spłót wewnętrznych napięć ludzkiego zachowania i nawiązaniem ojcowiskowej konwersacji „W drodze do domu / z Orestesem który nuci piosenkę”. I okazuje się, że „chłupocze” tytułowa „czułość”, ale owo uniesienie serca („Serce podskakuje”) — interesującą zobrazowaną stan — ma jednak wartość epizodyczną. Nie ustala żadnej szerszej perspektywy, która dałaby podmiotowi oparcie.

Łaska precyzji

zgrzebnego odzwierciedlenia „tematu”. Przecież — pamiętamy — przebiegi procesu inspiracyjnego mogą poetę prowadzić w strony odległe, gdzie blask kojarzenia nagle zgaśnie w drganiu jakichś jego (drzemających) emocji — uczuć lub też kompleksów. W taki oto sposób to, co jest bezpośrednio do siebie niepodobne uzyskuje moc wartości humanistycznej. Tu: w kontakcie dwóch odrębnych osobowości — plastycznej i poetyckiej. Ale trzeba też od razu dodać, że (na tym opiera się idea tych zbiorów) równopartnerska strona, ucze stnicząca w przeżyciu, jest także „Autor wstępu”, czyli Jan Muszyński. O malarstwie Anny Gapińskiej-Myszkiewicz tak pisze: „(...) im więcej ukladam wysiłku w poznanie Anny Gapińskiej-Myszkiewicz, tym bardziej ukręcam na obszar odkryty, w teren trudny do określenia, za wolną mroku, hermetycznych zamknięć. Wiem coraz mniej i muszę dbać o wzrastającą ostrość w próbie definicji. Jej twórczość (...) Ujęcia tematyczne wydają się tak szerokie, że mieszczą w sobie wyniki nauki, rozwój techniczny, literaturę, mit antyczny, mentalność religijną i metafizykę”.

Natomiast w wierszach Waldemara Mystkowskiego, w które to wtargnęły płótna zielonogórskiej malarki, których kolorystyka — jak w „Nié” — oliwkowo-szaro-niebieska może wywierać duże wrażenie, dochodzi do odsonienia krainy dziecinista przywołanej w wierszach z osobliwą czułością. Autor czyni to przy pomocy poetyckiej narracji, układającej się w mitologiczną opowieść. A każde wspomnienie dziecinista staje się jego poezją. Mystkowski snując biograficzne historie chce uzyskać jeden cel: ukazać zderzenie owej niedogodnej dziecięco-chłopcowskiej z okrutną dorosłością (już wtedy) i ofiarnością, lokującą się w innej sferze niż przywoływane „różnokolorowe chorągiewki” (patrz: „Chrabąszcz”, „Polityka”, „Piłka nożna”). To jest ten utracony raj, w którym jednak, mimo nieuniknionych konfliktów, nie było jeszcze miejsca na jakiś bardziej wstrząsający dramat wewnętrzny. To jest oczywiste. Jeszcze gwarantem osobistego bezpieczeństwa mógł być np. ojciec, który „podpuszcza tych cudzoziemców intelektualistów”. Jednak jakby z jego pleców wychylał się już ktoś, kto mógł zdecydowanie za grozić osobistemu „ja”. Dlatego w tych wierszach Mystkowski naciska kładzie na sformułowanie: „to zaufaniem składe”. Czym jednak może być dziecięcy „skład”, jeśli nie igraszka, zabawa zaledwie, której czas wnet przemienie. A później ulegnie przekształceniu i zostanie poddany decydującemu odarciu właśnie z owego „zaufania”.

Na przeciwnym biegunie usytuowane są wiersze, pisane już z perspektywy człowieka doświadczającego dorosłości. Również — utwory o sytuacji „dziecka” w człowieku. Jakże już jednak obciążone gorzką refleksją „bezzadnego iloczynu”, niespełnieniem, niepełnością psychiczną, nietrwałym smakiem błogości, ciągle narastającym poczuciem „nie sprawdzania się”. Bohater tych wierszy próbuje przewycię-

żyć — jak w wierszu „Toccata” — spłót wewnętrznych napięć ludzkiego zachowania i nawiązaniem ojcowiskowej konwersacji „W drodze do domu / z Orestesem który nuci piosenkę”. I okazuje się, że „chłupocze” tytułowa „czułość”, ale owo uniesienie serca („Serce podskakuje”) — interesującą zobrazowaną stan — ma jednak wartość epizodyczną. Nie ustala żadnej szerszej perspektywy, która dałaby podmiotowi oparcie.

W tej sytuacji funkcję, której można przypisać najwyższe znaczenie, może mieć właśnie „Łaska precyzji”, prowadząca do detalicznego, z determinacją podejmowanego, rejestrowania szczegółów, a przez to umożliwiająca precyzyjne (obiektywne) samopoznanie. Zneutralizowanie. Oblaskawianie zagrożeń, niepewności, lęku. Oczywiście i to pole (sprawności literackiej) gwarantuje możliwość przejścia tylko wąskim prze smykiem pewności. Toteż zbiorce Waldemara Mystkowskiego, wbrew temu co sugeruje tytuł, ma wydźwięk dramatyczny. Opis bowiem prowadzi do upełnienia, którego nie jesteśmy w stanie nigdy do końca zaakceptować, ani też zinteriorować jego sensów. Taka zaś wiedza ma swoje konsekwencje w zachwianiu poczucia tożsamości podmiotowej.

Tak oto poetycka inspiracja dziełem plastycznym przyczyniła się do ujawnienia jednego z centralnych problemów osobowości: jej uwarunkowań i możliwości działania. Może mieć ono dużą wagę, jeśli stanie się motorem dalszych przemysłów na drodze tak zarysowanego samopoznania.

Chcę też zauważyć, że zbiorce „Człono czułości” wydany jest bardzo starannie. Myślę, że bardzo dobrze zafunkcjonował materiał ilustracyjny, który stanowią czarno-białe fotografie fragmentów takich obrazów jak: „Nié”, „Fascynacja”, „Obraz z Nike”, „Nastroje”. Zdjęcia te, które wykonał Marek Woźniak, zdecydowanie prowokują do ujrzenia w całości oryginalnych, barwnych płócien Anny Gapińskiej-Myszkiewicz.

CZESŁAW SOBOKOWIAK

Waldemar Mystkowski: Człono czułości. Autor wstępu: Jan Muszyński. Zdjęcia: Marek Woźniak. Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 1987, s. 38.

Lubię piarstwo naukowe Czesława P. Dutki, przede wszystkim dlatego, że pozostaje wiernym zasadom obowiązującym w literaturze naukowej, język jego rozpraw jest jędrny, potoczny, porównawczy, nie ma w nim żadnych intelektualizacji, ale — jak sądzę — bardzo nośny. Dzięki Dutce nie zyskuje potwierdzenia teza, że uprawianie esejistyki lub też innych pokrewnych form piarstwa pozbawia tak zwanej „naukowości”. Dlatego książka „Mit i gest” jest wśród publikacji wydawnictw naukowych nietypowa i z powodzeniem można ją umieścić obok rozpraw Jana Błońskiego, Jerzego Kwiatkowskiego czy Kazimierza Wyki, dotyczących literatury powojennej. Owa nietypowość pracy Dutki tkwi też w metodzie opisu, gdyż — jak to bywa najczęściej — autor nie ogranicza się do metodologii badań literaturoznawczych, porusza się natomiast z dużą sprawnością na po graniczy innych dyscyplin humanistycznych, stąd na przykład często występują w publikacji takie terminy, jak mit, osobowość, stereotyp, światopogląd.

Czesław P. Dutka wyraźnie ulega fa synacji piarstwu Kazimierza Wyki, który przecież zapoczątkował podjęty w omawianej książce temat, głoszącymi swe go czasu a i obecnie, esejami „Tragiczność — drwina — realizm” czy też „Obrachunki inteligencji” z tomu „Pogranicze powieści”. Autor „Mit i gestu” z piarstwa — jak to nazywa za Michałem Sprusińskim „konieczność” — czerpie nie tylko temat, przyswajając sobie też spojrzenie Wyki, wyrażające się w „heroicznej ideologii samotności kultury”. Korzysta również trochę z jego pokoleniowego klasyfikowania i wyważonego obiektywizmu, jeśli idzie o naukowe kwereudy.

Warto przypomnieć, że literaturę „obrachunkową” stworzył w latach 1910 i 1915, do których trzeba zaliczyć m.in. Stanisława Dygata, Kazimierza Brandysa, Stefana Kisielewskiego i Pawła Herza, których książki stanowią już dziś klasykę tej literatury. Dodajmy, że zostały one napisane w okresie okupacji a na rynek ich wydawnictwa trafiły dopiero po wojnie. To ustalenie ma istotne znaczenie w zwróceniu uwagi przez Dutkę na ciągłość tej tematyki, a także — na fakt istnienia takich przemysłów podczas wojny. Jednocześnie podkreśla to ciągłość powstania rozrachunkowej, która cechuje naszą narodową literaturę.

Książka Dutki jednak niezbędnie wiele miejsca poświęca bezpośredniej analizie prozy obrachunkowej inteligencji. Jego rozważania sięgają natomiast zarówno wstecz jak i w przyszłość tego tematu. Sięganie wstecz, to przede wszystkim szukanie rodowodu tego nurtu w romantycznej tradycji. Autor poświęcił temu zagadnieniu aż dwa rozdziały: „Romantyzm jako poetyka i metodologia” i „Kordian nie chce zejść ze sceny”. Analogie kordianowe, ich paraboliczność, zaświadcza choćby wieloimienny Kordian — Bohater z „Kartoteki” Tadeusza Różewicza. Skupia on wartości i ideały lat sześćdziesiątych, łącząc je w swą biografię z przeszłością okupacyjną. Przeżył w jednak swoisty paraliż własnej osobowości, nie wierzy w mity, swoją inercją „obnaża mechanizm rodzenia się religioznawstwa, pustostów”.

Przyszłość natomiast w ujęciu Dutki to poszukiwanie ciągłości rozrachunkowej

w literaturze lat pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (np. Błażowski, Bratny, Różewicz), a także tych filiacji (ulubione słowo autora) do patrzącą się w adaptacjach filmowych tzw. szkoły polskiej. W rozdziale „Powroty i odejścia Kordiana” znajdujemy tytuły filmów: „Pokolenie”, „Popiół i diament”, „Bitwa pod Grunwaldem”.

Po wyzwoleniu problem inteligencji ujawnił się w całej swojej złożoności.

Inteligencja

— mity i gesty

Znalazło to odbicie zarówno w ówczesnej prasie młodoliterackiej jak „Pokolenie”, jak też w adresowanej do dorosłego czytelnika, np. „Kućnica”. Krytyka ethosu środowiska inteligencji stała się stałe powtarzającym się elementem dyskusji literackich i politycznych, bo też był to istotny problem nie tylko społeczny czy literacki, ale i polityczny, chociażby ze względu na zmienioną sytuację tej grupy społecznej po II wojnie. Dlatego też, jak sądzę, autor w kolejnym rozdziale swojej pracy odtworzył estetyczny program grupy pisarzy skupionych wokół marksistowskiej „Kućnicy” (Brandys, Dygat, Ilert, Wat, Ważyk, Rudnicki, Żółkiewski). Przypomnienie to ma charakter zarysu a jego celem jest zderzenie sformułowanego w ówczesnej myśli publicystycznej, m.in. przez Jana Kotta, Jastruna czy Żółkiewskiego programu realizmu w literaturze z recepcją rozrachunkową dokonaną literackich współpracowników „Kućnicy”. Takie ustawienie zagadnienia jest interesujące, pokazuje bowiem meandry ówczesnych sporów literackich, i to w czasie gdy postulat realizmu (jeszcze bez przymiotnika „socjalistyczny”) był jednym z założeń politycznych literackiej praktyki. Niezwykle delikatnie musiała ówczesna „Kućnica” krytyka godzić preferowane zasady realizmu z traczącą o koncepcję ujęć indywidualistycznych prozą „obrachunkową”. A program ten był dość jednoznaczny, rewidujący personalizm i nieomal cały dorobek Dwudziestolecia. Wyszukiwano zarzuty tkwienia w „inteligentkim sosie”, zagłębiania się w subtelne zakamarki ludzkiej psychiki kosztem rezygnacji z zainteresowań tzw. „człowiekiem historycznym”, wreszcie — często powracało w krytyce wołanie Rudnickiego: „Nigdy samego tylko piękna, bez prawdy”. I to wszystko wpływało na określoną recepcję „prozy obrachun-

kowej”. „Kućnica” próbowała się z tą prozą zmierzyć, a te wysiłki ukazane przez Dutkę są dla całości tematu ważnymi.

Książki „obrachunkowe” lat przełomu okupacji i wyzwolenia były sygnałem usвідomienia sobie zmieniającej się sytuacji hierarchicznej warstwy inteligencji, koniecznością korekty jej własnego ethosu, przemyśleń i krytycznej oceny dotychczasowego życia, własnej mitologii. Wspomniałem już, że Czesław P. Dutka bezpośrednio analizuje książki „obrachunkowej” poświęcił niewiele miejsca. Nie oznacza to jednak, że analiza ta jest powierzchowna. Przeciwnie. Autor widzi np. problemy Dygatego „Jeziora...” przez pryzmat dotychczasowego piarstwa na ten temat (Bereza, Maciąg, Sandauer, Skwarczyńska). Więcej, uzbrojony w konteksty filozoficzne i literackie stara się zobaczyć przesłanie powieści i innych utworów tego nurtu w bezpośrednim planie obrachunkowym inteligencji, jednocześnie drążąc naszą narodową świadomość, negując jej stereotypy i schematy. Muszę przyznać, że trafnie udaje się autorowi zauważyć wszystkie bezpośrednie (choćby we fragmencie: Mała imprezówka: odczyt o Polsce) i pośrednie powroty do romantyzmu. Podobnie jest z interpretacją „Drewnianego konia”, „Sednau” i „Sprzysiężenia”.

Ta książka więc, pomimo początkowego kojarzenia jej przez niewiele czytelników odbiorców przede wszystkim z klasą obrachunkową, jest w rzeczywistości zarysem szeroko rozumianej literatury tego typu, obrazem zmiany jej funkcji, a także — niekiedy wnikliwym przeglądem literackich ewolucji tej literatury. Przeniesienie wizerunku i zarazem wzorca zmagających Kordianów na cały cykl utworów, niemalże do chwili obecnej, rozwinięcie zapoczątkowanego przez Kazimierza Wykę tematu — to wszystko stanowi o niewątpliwych wartościach pracy Czesława P. Dutki. Ponadto, co jest oczywiste, uzupełnia ona badania nad kształtem literatury polskiej lat 1939-1948.

I jeszcze jedno. Autor kończy swoje rozważania rozdziałem poświęconym problematyce ludzkiej kondycji, problematyce buntu i gestu. Buntu, który „jest już głównie stawianiem pytań, szukaniem nowych dróg i coraz nowszych rozwiązań, które nie zastygają w schematy (postaw ludzkich), miałyby urok i wartość wolności”.

ANDRZEJ BUCK

Czesław P. Dutka: Mit i gest. Bohater kordianowski prozy rozrachunkowej inteligencji. Wydawnictwo WSP. Zielona Góra 1986 r. Nakład 500 egz. Cena zł 280.

Nad Odrą w 1945 roku

Nową powieść Sławomira Sierackiego pod prowokującym wyobraźnię tytułem „Upiór znikają z brasku” powinien przeczytać każdy mieszkaniec środkowej Góry. Dotyczy bowiem Zielonej Góry, Gubina, Zagania i leżącego tuż nad Odrą Zaboru. To, co pisarz zabrał z sobą po wojnie na opisywanym w książce obszarze, stanowiło właśnie inspirację do fabuły książki. Natomiast pojęte przez niego studia nad dokumentami źródłowymi zadecydowały ostatecznie o historycznym tonie opisywanych w powieści niemych dotąd szerzej wydarzeń historycznych.

W postawie do tej powieści czytamy m.in. „Wszystcy bohaterowie tej powieści są jednak postaciami fikcyjnymi, choć nie zaprzeczę, że kreowałem te postacie częściowo na podstawie wzorców autentycznych, jednakże modelowałem je następnie stosownie do reguły fikcji literackiej”. Najwięcej związku z osobistymi przyczynami pisarza ma postać Kmita, był bowiem również jak autor kanclista w oddziale operacyjnym sztabu 38 pułku.

Sławomir Sieracki znalazł się na Ziemi Lubuskiej w kwietniu 1945 r. jako żołnierz 38 pułku piechoty, należącego do sformowanej w marcu tegoż roku w Łodzi 11 dywizji piechoty Wojska Polskiego. Jej zadaniem była w tym czasie obrona nowej polskiej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej i zabezpieczenie normalnego życia dla napływającej tuż ludności polskiej. Tak wspomina po latach ten okres: „Było znowu państwo polskie — i w naszych sercach i na mapie — wciąż jednak rzeczywistość straszła nas wszystkimi upiorami lat wojny i okupacji”.

Główny wątek powieści wyznacza incydent, jaki wydarzył się podczas prze-

prawy 38 pułku WP przez Odrę, koło wsi Miłsko. Tutaj bowiem żołnierze tego pułku, a wśród nich S. Sieracki, natknęli się na grupę maruderów wojennych, którzy podawali się za Jugosłowian. Okazali się oni byłymi żołnierzami wojska faszystowskiego Niezależnego Państwa Chorwackiego, stworzonego przez Ante Pawelicia i rozbitych — podobno z dywizji Czarnych Koszul Benito Mussoliniego, wspierających podczas wojny armię niemiecką na froncie wschodnim.

Trudno jeszcze do dzisiaj udzielić wiarogodnej odpowiedzi na pytania, jakie były losy tej grupy „egzotycznych” maruderów wojennych na lewym brzegu Odry, gdzie obrali sobie miejsce kilkunastu „postoju”. Pisz S. Sieracki: „Ale całe Ziemie Zachodnie pełne były wówczas grup cudzoziemskich, byłych jeńców i byłych więźniów — z którymi było niekiedy wiele kłopotów, choć z zasady odnosiliśmy się do nich przyjaźnie, pomagając przede wszystkim w ich repatriacji”.

Banda maruderów zażądała od żołnierzy 38 pułku WP podzielenia się z nią sprzętemaperskim, a nawet dostarczenia jej informacji o stanie osobowym jednostki i uzbrojenia. Twierdzili bowiem, że pułk przechodził rzekomo przez ich teren. Mieli niemiecką broń, angielskie i amerykańskie mundury wojskowe, jakie jeńcom alianckim dostarczał Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Bandę rozbijono bez jednego wystrzału. Operację ochraniał pluton fizylierów, a przeprowadził ją sprawnie pluton zwiadu konnego.

Drugim miejscem pobytu S. Sierackiego i żołnierzy 38 pułku WP był pałac w Zaborze, którego autor obdarzył w powieści fikcyjną nazwą Danbór. Położony kilkanaście kilometrów od Zielonej Góry pałac został rozbudowany w XVIII wieku przez syna Augusta Mocnego i hrabiny Cosel — Fryderykę Cosel, który zginął w pojedynku. Warto również wspomnieć w tym miejscu, iż przed wojną mieszkała w nim „na wygnaniu” eks — cesarzowa pruska Hermińska. Obecnie w pałacu w Zaborze mieści się zakład leczniczy.

S. Sieracki znalazł się także w Zielonej Górze. I właśnie to miasto stanowi scenę kolejnego wątku powieści. Jeszcze do czerwca 1945 r. rezydował w Zielonej Górze niemiecki burmistrz i funkcjonowała niemiecka straż porządkowa. Ale już w maju 1945 r. pojawiła się w mieście grupa operacyjna Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów, a polski burmistrz rozpoczął urzędowanie na początku czerwca. Wyjście ludności niemieckiej z Zielonej Góry ochraniał w tym czasie 38 pułk piechoty WP. Oblicza się, że na początku czerwca 1945 r. opuściło miasto około 4000 Niemców.

Czas był nadal niepewny. Żołnierze 38 pułku byli kilkakrotnie ostrzeliwani z lasu przez luźne grupy maruderów z SS i dywersantów spod znaku takich formacji jak Hitler-Jugend i Volksturm. To oni byli odpowiedzialni m.in. za wymordowanie radzieckiego patrolu, który przez Cigacice wdarł się na początek lutego 1945 r. do Zielonej Góry, a więc jeszcze przed wysiedleniem w powietrze mostu na Odrze. Akcja sabotażu w miasteczku została przeprowadzona przez żołnierzy 38 pułku. W Zielonej Górze działała organizacja dywersyjna Werwolf, która nosiła nazwę „Polonia Restituta” celem zmiana polskiej służby bezpieczeństwa.

W powieści S. Sierackiego pojawia się również wsi Niemaszchleba, leżąca w okolicy Lubuska i Gubina. Była wówczas pusta i zdewastowana. Zasiadł ją po wojnie byli osadnicy wojskowi, zdemobilizowani żołnierze 38 pp. To na ich życzenie nazwę wsi Niemaszchleba zmieniono na Chlebowo.

Warto sięgnąć po powieść Sierackiego. Opisane w niej historie zaczęły się od samotnej wyprawy polskiego oficera, który chciał odszukać zrabowanego osadnikowi konia, a koń był wtedy prawie na waga złota. Po 42 latach Sławomir Sieracki pojawił się ponownie w Zielonej Górze, w mieście, gdzie „teraz nie ma już dominująca przeszłość, a takie są bowiem prawa natury”.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Sławomir Sieracki: Upiór znikają z brasku. Warszawa 1988. Wydawnictwo MON. Stron 186. Nakład 20.000 egz. Cena zł 280.

los sprzyjał, gratulujemy. Nagrody prześlemy pocztą.